

Ślepy geometra

Kim Stanley Robinson



calibre 0.9.27

Kim Stanley Robinson Ślepy Geometra

Kiedy ktoś rodzi się niewidomy, jego rozwój przebiega inaczej niż u dzieci obdarzonych wzrokiem. (Urodziłem się niewidomy, więc wiem.) Powody tej różnicy są raczej oczywiste. Wczesny rozwój niemowlęcia, fizyczny i psychiczny, powiązany jest w dużej mierze z widzeniem. Bez niego rzeczywistość jest... (trudno to opisać) rodzajem pustki, w której rzeczy pojawiają się przelotnie, kiedy sieje chwyta, gryzie lub słyszy. A potem, gdy milkną lub spadają, rozplývają się, przestają istnieć. (Zastanawiam się, czy ślad tego uczucia nie pozostał we mnie na zawsze). Można wykazać, że widzące niemowlęta także muszą nauczyć się tej permanencji obiektów - wystarczy schować zabawkę za zasłonę, a uznają, że nie istnieje. Jednak, gdy dostrzegają część zabawki (lub osoby) zza zasłony lub czegoś podobnego, wzrok sprawia, że rozbudzenie poczucia permanencji obiektów jest stosunkowo szybkie i łatwe. Dla dziecka niewidomego zadanie to jest o wiele trudniejsze, zabiera całe miesiące, czasem lata. A bez wycucia obiektywnego świata nie pojawi się dopełniające pojęcie siebie. (Przestrzeń dotykowa albo taktylna, przestrzeń ciała - rozszerza się, by wypełnić przestrzeń wizualną...). Każde niewidome dziecko zagrożone jest autyzmem.

Lecz mamy także, i wiemy o tym, zdolność do całkowitej swobody przekształcania, w myśli i fantazji, naszej ludzkiej historycznej egzystencji...

Edmund Husserl, „Początki geometrii”

Moje pierwsze wspomnienie pochodzi z Bożego Narodzenia. Miałem wtedy trzy i pół roku i między innymi dostałem pod choinkę torbę kulek do gry. Byłem zafascynowany sposobem, w jaki czułem w dłoniach te garście kulek, wszystkie gładkie i twarde, tak identyczne... Równie silne wrażenie wywarła na mnie skórzana torba, w której się mieściły. Była taka miękka, miała taki obły kształt, zawiązywała się na tak wspaniale skórzany rzemień. (Muszę powiedzieć, że z punktu widzenia estetyki dotykowej nie ma nic wspanialszego od dobrze natłuszczonej skóry. Moją ulubioną zabawką był but ojca). W każdym razie turlałem się na brzuchu po rozsypanych na podłodze kulkach (większa powierzchnia kontaktu), gdy wpadłem na choinkę, całą suchą i kłującą. Wyciągnąłem rękę, by ułamać kilka igieł i rozetrzeć w palcach. Trafiłem na bombkę, którą w podnieceniu uznałem za zagubioną kulkę, pociągnąłem za nią (za gałąź z pewnością także) i... choinka się przewróciła.

Zamieszanie, jakie nastąpiło jest tylko niewyraźną plamą w moich wspomnieniach, jak gdyby wszystko to nagrane było na taśmie, której części, zawsze szybko przewijane, są tylko zbiorem pisków i trzasków. Krótkie, poklejone ścinki taśmy: moja pamięć. (Moja historia).

* * *

Jak często szukałem wcześniejszych ścinków z tych długich lat mego dochodzenia do świadomości? W jaki sposób odkryłem po raz pierwszy świat poza moim ciałem, poza zasięgiem wyciągniętych rąk? Było to jedno z moich największych osiągnięć intelektualnych - może nawet największe - a jednak pamięć o nim jest dla mnie stracona.

Czytałem więc i dowiadywałem się, w jaki sposób inne niewidome dzieci sobie z tym poradziły. Moje własne życie poznawałem poprzez słowa - rzeczywistość stała się tekstem. Ciągłe mi się to zdarza. Właśnie to nazwał T.D. Cutsforth wkroczeniem w świat „werbalnej nierzeczywistości”. Jest to nieunikniony fragment losu ciekawego niewidomego człowieka.

*

Nigdy nie lubiłem Jeremy'ego Blasingame'a. Pracowaliśmy w tym samym miejscu od sześciu lat i jego gabinet znajdował się o sześć drzwi od mojego. Wydaje mi się, że był on jedna z tych osób, które zawsze czują się nieswojo w towarzystwie niewidomych. I to niewidomy musi pokonywać ich skrępowanie, co bywa nieco irytujące. (Prawdę mówiąc zwykle ignoruję ten problem). Jeremy zawsze przyglądał mi się uważnie (można to poznać po głosie) i czuło się, że z trudem może uwierzyć, iż jestem jednym ze współredaktorów „Topological Geometry”, pisma, w którym od czasu do czasu składał swoje prace. Był jednak dobrym matematykiem i niezłym topologiem, więc publikowaliśmy większość jego artykułów. Tak, że na pozór nasze stosunki były przyjazne.

A jednak zawsze starał się mnie sondować, badać mój mózg. W tym czasie pracowałem ostro nad geometrią różnorodności n-wymiarowych. Ostatnie wyniki z CERN, SLAC i tego nowego, wielkiego cyklotronu na Oanu w ciekawy sposób wiązały się z moimi rezultatami: wyglądało na to, że pewne cząstki subatomowe poruszają się jakby w wielowymiarowej różnorodności. W związku z tym Sullivan, Wu i paru innych fizyków stamtąd pytało mnie o różne sprawy. Z nimi lubiłem rozmawiać, ale z Jeremym nie widziałem sensu. Pewne sugestie, jakie poczyniłem w jednej z rozmów, wykorzystał później w swojej pracy. Uznałem wtedy, że po prostu szuka pomocy i nie chce się do tego przyznać.

Była jeszcze sprawa jego obrazu. W słońcu odbierałem go jako zmienną nakrapianą plamę jasności. Zwykle nie widzę ludzi i nie rozumiałem, czemu on jest wyjątkiem (czy był to wzrok czy coś innego?). To mnie niepokoiło.: Choć w retrospekcji niewątpliwie trochę ten niepokój wyolbrzymiam.

*

Pierwsze wydarzenie mego życia, które ma zabarwienie emocjonalne (wszystkie wcześniejsze są tylko skrawkami taśmy - mogą dotyczyć kogokolwiek, jeśli brać pod uwagę łączące się z nimi uczucia), pochodzi z czasu, gdy miałem osiem lat i wiąże się z matematyką, co można uznać za symboliczne. Dodawałem słupki na swojej tabliczce Braille'a. Podniecony nową umiejętnością chwyciłem kartkę z wybitymi cyframi i pobiegłem pochwalić się ojcu. Przyglądał się jej przez chwilę.

- Hmm - powiedział w końcu. - Pamiętaj, musisz bardzo uważać, żeby kolumny były dokładnie pionowe - jego długie palce poprowadziły moją rękę. - Dwadzieścia dwa jest przesunięte w lewo. Czujesz? Musisz wpisywać je równo.

Niecierpliwie wyrwałem dłoń czując zniechęcenie, wzbierające we mnie jak fala przyływu (najbardziej znajome z uczuć, zdarzające się dziesiątki razy dziennie).

- Ale dlaczego?- spytałem piskliwym z rozczarowania głosem, - Przecież to wszystko jedno...

- Wcale nie. - Ojciec nie był pedantem, o czym wiedziałem dobrze, nie raz potknąwszy się o jego rzucony w kąt neseser, łyżwy, buty... - Popatrz - znów trzymał moją dłoń. - Wiesz, jak się pisze liczby. To jest dwadzieścia dwa. To znaczy, że mamy dwie jedyne i dwie dziesiątki. Ta dwójka oznacza dwadzieścia, a ta dwójka oznacza dwa, mimo że są takie same, prawda? Kiedy dodajesz, kolumna po prawej stronie jest kolumną jedynek. Następna to kolumna dziesiątek, a następna - setek. Tu jest trzynasta, prawda? Trzy setki. Jeżeli przesuniesz dwadzieścia dwa za bardzo w lewo, dodasz dwadzieścia z kolumną setek, tak jakby to było dwieście dwadzieścia, a nie dwadzieścia dwa. A to będzie błąd. Więc musisz wpisywać kolumny równiuteńko...

Zrozumienie rozbrzmiało we mnie, jakbym był wielkim, starym kościelnym dzwonem, a ono

jego sercem. Po raz pierwszy poznałem wtedy uczucie, które pozostało wieczną radością mego życia: zrozumieć.

A rozumienie pojęć matematycznych prowadziło do siły (jakże jej pożałowałem!), nie tylko w abstrakcyjnym świecie matematyki, lecz także w realnym świecie ojca i szkoły. Pamiętam, jak podskakiwałem z radości, jak ojciec śmiał się wesoło, jak pogałem do swojego pokoju, by nakłuwać słupki proste jak linijka i dodawać jedną kolumnę liczb do drugiej.

*

Ach, prawda: nazywam się Carlos Oleg Nevsky. Matka Meksykanka, ojciec Rosjanin (doradca wojskowy). Urodzony w Mexico City w roku 2018, trzy miesiące przed terminem wyznaczonym, a po tym, jak matka będąca w ciąży zachorowała na różyczkę. Rezultat: niemal całkowita ślepota (potrafię odróżnić ciemność od jasnego światła). Mieszkałem w Mexico City, dopóki ojca nie przeniesiono do ambasady radzieckiej w Waszyngtonie. Miałem wtedy pięć lat. Od tego czasu mieszkam w Waszyngtonie niemal bez przerwy. Rodzice rozwiedli się, gdy miałem piętnaście lat. Od 2043 r. wykładałem matematykę na Uniwersytecie George'a Washingtona.

*

Pewnego chłodnego wiosennego ranka spotkałem Jeremy'ego Blasingame'a w wydziałowym bufecie, gdzie zszedłem po kawę - w bufecie, gdzie nikt nigdy długo nie siedzi.

- Cześć, Carlos, jak leci?

- Świetnie - odpowiedziałem, macając po stole w poszukiwaniu cukru. - A co u ciebie?

- Całkiem nieźle. Ale mam ciekawy problem tam, gdzie udzielam konsultacji. Doprowadza mnie do szału.

Jeremy pracował dla Pentagonu w wywiadzie wojskowym czy czymś w tym rodzaju, ale rzadko opowiadał, co tam właściwie robi. Ja, oczywiście, nigdy nie pytałem.

- Ach, tak - stwierdziłem. Znalazłem cukier i osłodziłem kawę.

- Tak. Mają tam zgryz z kodem. Założę się, że to by cię zainteresowało.

- Nie przepadam za kryptografią.

Zabawa w szpiegów... matematyka, która się z tym wiąże jest naprawdę bardzo ograniczona. Słodki zapach cukru, rozpuszczającego się w marnej bufetowej kawie.

- Tak, wiem - powiedział Jeremy. - Ale... - odcień zniechęcenia w jego głosie; trudno poznać, czy uważa na to, co mówi (forma kontroli). - Ale to może być kod genetyczny. Rozumiesz, mamy obiekt, który rysuje diagramy.

Obiekt. - Hmm - mruknąłem. Jakiś nieszczęsny szpieg, bazgrzący w jakiejś celi...

- No więc... Mam tu taki zrobiony przez nią rysunek. Nasuwa pewne skojarzenia z twierdzeniem z twojej ostatniej pracy. Może jakieś rzutowania.

- Tak? - Jaki szpieg mógłby narysować coś takiego?

- Tak. I ma to chyba coś wspólnego z jej wysławianiem się. Związki werbalne są poprzestawiane - czasem wypowiada słowa w dziwnym porządku.

- A co się jej stało?

- Cóż... Tutaj, sprawdź rysunek.

- Przyjrzę mu się - wyciągnąłem rękę.

- A kiedy następnym razem będziesz chciał kawy, wpadnij do mnie. U siebie w pokoju robię ją jak należy.

- Dobra.

*

Przez całe życie chyba zastanawiałem się jakby to było: widzieć. Cała moja praca jest niewątpliwie próbą wizualizacji rzeczy na mojej wewnętrznej scenie. „Widzę to czuciem”. W języku, w muzyce, a przede wszystkim w prawach geometrii znajduję najlepsze sposoby, by widzieć: przez analogię dotyku, dźwięku i abstrakcji. Rozumiecie: poznać możliwe geometrie w pełni, to zrozumieć dokładnie fizyczny świat, odkrywany światłem; w pewnym sensie postrzega się wtedy coś w rodzaju platońskich form idealnych, leżących u podstaw widzialnych fenomenów świata. Czasem głos dzwonu zrozumienia wypełnia mnie tak bez reszty, że czuję, że muszę widzieć; czym innym mogłoby to być? Wierzę, że widzę.

A potem pojawia się problem przejścia przez ulicę albo znalezienia położonych nie tam gdzie zwykle kluczy. Geometria niewiele pomaga; trzeba wrócić do rąk i uszu jako oczu. I wtedy wiem, że wcale nie widzę.

Postaram się ująć to inaczej. Geometria rzutowa zaczęła się w Renesansie, gdy świeżo zainteresowani perspektywą malarze szukali sposobów odwzorowania na płótnie trójwymiarowego świata. Szybko stała się gałęzią matematyki o wielkiej elegancji i dużych możliwościach. Zasadnicza metoda jest prosta: kiedy figura geometryczna jest rzutowana z jednej płaszczyzny na drugą (tak jak światło - ktoś mi opowiadał - rzutuje obraz ze slajdu na ścianę), pewne cechy tej figury mogą się zmienić (długość boków, miary kątów), podczas gdy inne są stałe: punkty, to nadal punkty, proste to proste, niektóre proporcje pozostają niezmiennione.

Teraz wyobraźcie sobie, że widzialny świat jest figurą geometryczną, którą w pewnym sensie naprawdę jest. Wyobraźcie sobie jeszcze, że został zrzutowany do wewnątrz na coś całkiem innego, nie na płaszczyznę, ale na wstęgę Moebiusa albo powiedzmy, butelkę Kleina, czy też w istocie na rozmaitość o wiele bardziej złożoną i niezwykłą (bylibyście zaskoczeni). Niektóre cechy figury znikają na dobre (na przykład kolor), lecz inne ważne własności pozostają. A geometria rzutowa jest sztuką znajdowania tych cech czy wielkości, które przetrwają transformację rzutowania...

Rozumiecie mnie?

Geometria dla jaźni - oczywiście nieeuklidesowa; właściwie ściśle Nevsky'ego, gdyż jest mi potrzebna, kiedy wykonuję rzutowania z przestrzeni wizualnej w przestrzeń audytywną i dotykową.

*

Kiedy spotkałem Blasingame'a następnym razem, strasznie chciał się dowiedzieć, co sędzę o diagramie. (Mogłaby istnieć akustyka emocji - a zatem i matematyka emocji; na razie uszy niewidomego wykonują odpowiednie obliczenia każdego dnia).

- Jeden rysunek to niewiele, Jeremy. To znaczy, chyba masz rację, wygląda to na prosty diagram rzutowy, ale przecina go kilka dziwnych linii. Kto wie, co mogą oznaczać? Całość mogłaby być nabazgrana przez dziecko.

- Aż taka młoda to nie jest. Chcesz zobaczyć więcej?

- Boja wiem... Ta kobieta, o której stale wspominał, jakaś Mata Hari uwięziona w Pentagonie, rysująca figury geometryczne i mówiąca zagadkami... oczywiście, że byłem zaintrygowany.

- Masz, weź je. Wydaje się, że jest pewien postęp.

- Byłoby łatwiej, gdybym mógł porozmawiać z tym obiektem, który to rysuje.

- Prawdę mówiąc nie sędzę... ale -(widząc moją irytację) - mógłbym chyba ją przyprowadzić, jeśli diagramy cię zainteresują.

- Sprawdzę je.

- Świetnie - świetnie - dziwny ton podniecenia w jego głosie, napięcie, zapowiedź, boja wiem... zmarszczenia czoła. Wziąłem papiery.

Po południu włożyłem je do mojego specjalnego Xeroxa. Reprodukcje wysunęły się sztywne i wypukłe. Wolno przejechałem palcami po wystających liniach i literach.

Muszę tu wyznać, że większość geometrycznych diagramów jest dla mnie niemal bezużyteczna. Jeśli zastanowicie się przez chwilę, zrozumiecie dlaczego: większość rysunków jest dwuwymiarową reprezentacją struktury trójwymiarowej. Dla mnie to nic nie znaczy, a nawet utrudnia pojęcie istoty rzeczy. Powiedzmy, że wyczuwam na kartce trapezoid; czy miał to być trapezoid, czy może reprezentacja prostokąta nie koterminalnego z kartką, na której leży? A może konwencjonalne przedstawienie płaszczyzny? Jedyne opis rysunku może mi to powiedzieć. Bez opisu mogę jedynie zgadywać, co wydaje się przedstawiać figura. Dużo wygodniej jest mieć trójwymiarowy model, który można zbadać rękami.

Teraz nie było to możliwe. Przejechałem więc dłońmi po tej plątanie linii, przerysowałem ją parę razy wypuklającym piórem, znalazłem dwa trójkąty, linie łączące ich wierzchołki i proste będące przedłużeniami boków. Próbowałem zrobić z zestawu Taylora trójwymiarowy model, odpowiadający rysunkowi... spróbujcie kiedyś sami! a zrozumiecie, jak ciężki jest ten rodzaj intelektualnego wysiłku. Wyobraźnia rzutowa...

Wydawało się, że jest to przybliżony szkic twierdzenia Desarguesa.

*

Twierdzenie Desarguesa jest jednym z pierwszych wyraźnie związanych z geometrią rzutową. Sformułował je Girard Desargues w połowie siedemnastego wieku, w przerwie pomiędzy tworzeniem dzieł architektonicznych i mechanicznych, pisaniem książek o muzyce itp. Jest to stosunkowo proste twierdzenie mówiące, że dwa trójkąty będące nawzajem swoimi rzutami generują grupę punktów leżących na wspólnej prostej. Głównym celem twierdzenia jest pokazanie jednego z tych eleganckich związków, tak często pojawiających się przy rzutowaniu.

(Prawdziwe jest także twierdzenie odwrotne, to znaczy jeżeli założymy, że przedłużenia boków dwóch trójkątów przecinają się w trzech punktach współliniowych, można pokazać, że trójkąty te są nawzajem swoimi rzutami. Jak pisuje się w podręcznikach, dowód tego faktu pozostawiam jako ćwiczenie dla czytelnika).

*

Ale co z tego? Owszem, jest to piękne twierdzenie, eleganckie w sposób charakterystyczny dla matematyki Renesansu, ale co robi w rysunku wykonanym przez jakiegoś nieszczęsnego więźnia Pentagonu?

Zastanawiałem się nad tym idąc do Zdroju Warrena, mojego klubu gimnastycznego (zastanawiałem się mimowolnie i z pewnością podświadomie; moim podstawowym problemem były ulice i samochody. Ulice Waszyngtonu przypominają w pewien sposób owe kłopotliwe geometryczne diagramy, o których mówiłem [drogi stanowe przecinają po przekątnej regularną kratownicę ulic tworząc najróżniejsze typy skrzyżowań]; na szczęście nie trzeba rozumieć całego miasta na raz, by po nim chodzić. Łatwo jednak się zgubić. Idąc skupiałem się więc na odległościach, na w miarę stałych odgłosach, na zapachach [ziemia w parku przy M i New Hampshire, budka z hot dogami przy 21-szej i K]; tymczasem moja laska określała świat bezpośrednio pod stopami, sonar w okularach gwizdał wyżej lub niżej, gdy obiekty zbliżały się lub oddalały... Nie jest łatwo przejść z punktu A do punktu B tak, by nie stracić orientacji [trzeba wtedy zacisnąć zęby i spytać o drogę], lecz jest to wykonalne. To

jeden z tych drobnych wysiłków/sukcesów [za każdym razem trzeba wybrać, który], jakich niewidomy nie jest w stanie uniknąć). Mimo wszystko po drodze zastanawiałem się nad rysunkiem.

Przy 21-szej i H z zadowoleniem poczułem zapach budki z preclami mojego przyjaciela Ramona, który także jest niewidomy. Jego budka jest jedyna, w której płyta grzejna nie spiekła kilku precli do tego metalicznego zapachu spalenizny, jaki wydzielają wszystkie inne. Ramon woli czysty zapach świeżo upieczonego ciasta i twierdzi, że sprowadza mu on więcej klientów, w co nietrudno uwierzyć.

- Nie wydaję reszty - tłumaczył komuś z ożywieniem. - Po tamtej stronie budki jest automat do rozmieniania. Proszę z niego skorzystać. Dziękuję bardzo. Preclę, gorące preclę! Po dolarze sztuka!

- Cześć, Mrugaczu! - zawołałem zbliżając się.

- Cześć, profesorze Mrugacz - odpowiedział. (Mrugacz jest łagodnie pejoratywnym określeniem, używanym przez poirytowanych widzących ludzi z opieki społecznej wobec tych spośród ich niewidomych kolegów, którzy zbyt agresywnie lub ostentacyjnie sobie radzą, którzy robią pokaz ze swej kompetencji. Naturalnie, przyswoiliśmy ten termin dla własnego użytku. Czasem oznacza on to samo - zwykle wtedy, gdy używany jest w trzeciej osobie, na ogół jednak - w drugiej osobie - wyraża sympatię). - Chcesz preclę?

- Pewno.

- Idziesz na salę?

- Tak. Porzucam trochę. Kiedy zagramy następnym razem, będziesz miał kłopoty.

- To będzie wielki dzień, kiedy moja tarcza zacznie ze mną wygrywać.

Położyłem cztery ćwiartki na jego stwardniałej dłoni, a on podał mi preclę.

- Mam dla ciebie zagadkę - oznajmiłem. - Dlaczego ktoś miałby przekazywać wiadomość przy pomocy diagramu geometrycznego?

- Mnie pytasz? - roześmiał się. - To twoja specjalność.

- Ale wiadomość nie jest dla mnie.

- Jesteś tego pewien?

Zmarszczyłem czoło.

W klubie przywitałem się z Warrenem i Amandą. Siedzieli przy biurku i zaśmiewali się nad jakimś brukowcem. Uwielbiali takie rzeczy, a najlepsze tytuły przyczepiali na ścianach w całym klubie.

- Co dziś macie? - spytałem.

- Co powiesz na „Yeti-homoseksualista napastuje młodych chłopców”? - zasugerował Warren.

- Albo „Kobieta uznana winną uczynienia męża prezesem banku” - chichotała Amanda. Napchała go narkotykami, a potem obrabiała, aż awansował z kasjera na prezesa.

- Będę musiał ci coś takiego zrobić, co, Amando? - wtrącił Warren.

- Tylko załatw mi coś lepszego niż prezesurę banku.

- O wiele za dużo mamy ostatnio narkotyków - stwierdził Warren. - Chodź, Carlos. Przygotuję ci strzelnicę.

Przebrałem się w szatni, a kiedy wszedłem do sali celów, Warren właśnie kończył wszystko ustawiać.

- Możesz zaczynać - zachęcił, przejeżdżając obok mnie.

Wszedłem i zamknąłem drzwi. Na środku sali stał wysoki do piersi druciany kosz, pełen piłek baseballowych. Wyciągnąłem jedną, zważyłem w rękę, pomacałem ścięgna. Taka piłka jest piękna: miło wygięte krzywe szwów na doskonale sferycznej powierzchni, idealny-do rzutów ciężar.

Pstryknięciem przełącznika uruchomiłem strzelnicę i z piłkami w obu rękach odszedłem od

podajnika. Było całkiem cicho, jedynie nikły pomruk przesączał się przez dźwiękoszczelne ściany. Robiłem co mogłem, by zredukować odgłos własnego oddechu, aż usłyszałem w uszach bicie swego serca.

Nagle b i i p, gdzieś z tyłu, po lewej i nisko; odwróciłem się i rzuciłem. Tępe stuknięcie.

- Prawo... nisko - cicho odezwał się z góry głos maszyny.

B i i p i rzuciłem znowu.

- Prawo... wysoko - powiedział głośniejsze, co oznaczało, że trafiłem dalej od celu.

- Psiakrew! - zakląłem, idąc po nowe piłki. - Marny początek.

B i i p - silny rzut w lewą stronę - brzdęk!

- Jest!

Niewiele jest w życiu rzeczy, które dają większą satysfakcję niż brzdęk trafionego centralnie celu. Dzwoni mniej więcej w środkowym C i z kilkoma półtonami jak niewielki lecz ciężki kościelny dzwon uderzony młotkiem. Dźwięk sukcesu.

Jeszcze siedem rzutów, jeszcze cztery trafienia.

- Pięć na dziesięć - oznajmiła maszyna. - Średni czas rzutu: sekunda i trzydzieści pięć setnych, najszybszy rzut: osiemdziesiąt cztery setne sekundy.

Ramon trafia czasem w cel w ciągu pół sekundy albo i mniej, ale ja muszę usłyszeć pełny sygnał, a to obniża średnią. Ustawilem się do następnej rundy, nacisnąłem przełącznik, skoncentrowałem się. B i i p, rzut, b i i p, rzut. Staralem się zmusić stopy, by ruszały się szybciej, wykańczać zamach, wykorzystywać informację z chybionych rzutów, kiedy następnym razem cel znajdował się nad podłogą, albo pod sufitem, albo z tyłu (niskie cele to mój słaby punkt; jakoś nie udaje mi się dokładnie rzucać w dół). Rozgrzewałem się i ciskałem coraz mocniej i mocniej... Już samo rzucenie piłką tak mocno, jak tylko się potrafi, przynosi radość. A jeszcze uruchomić ten dzwonek! Brzdęk! To porusza każdą komórkę ciała.

Kiedy skończyłem, wziąłem prysznic i stanąłem przed swoją szafką, wyciągnąłem rękę, by ściągnąć koszulę z haczyka na drzwiach. Wtedy moje palce trafiły na krótki metalowy drut, umocowany w górnym wewnętrznym kącie, gdzie drzwiczki ukrywały go zarówno przede mną, jak i przed moimi widzącymi kolegami. Wyciągnąłem go bez trudu. Przesuwając po nim palcami nie mogłem stwierdzić, co to jest, miałem jednak pewne podejrzenia. Pokazałem go więc mojemu przyjacielowi, Jamesowi Goldowi, który zajmuje się akustyką na wydziale mechanicznym. Poprosiłem, żeby mu się przyjrzał.

- To mały zdalny mikrofon - powiedział, po czym zażartował: - Ktoś cię podsłuchuje, Carlos?

Spoważniał, gdy go spytałem, gdzie mógłbym załatwić coś takiego dla siebie.

John Metcalf - „Ślepy Jack z Knaresborough” - (1717-1810). W wieku sześciu lat stracił wzrok po przebytej ospie, w wieku lat dziewięciu radził sobie zupełnie dobrze bez żadnej pomocy, kiedy miał lat czternaście wyjawiał zamiar całkowitego zlekceważenia kalectwa i prowadzenia normalnego życia. Faktem jest, że bezpośrednio po podjęciu tej mężnej decyzji wpadł do żwirowni, a potem został poważnie ranny w czasie ucieczki z sądu, który okradł... na szczęście nie osłabiło to jego zdecydowania. W wieku dwudziestu lat zdobył spory rozgłos jako bokser. (!)

Ernest Bramah, Wstęp,

„Oczy Maxa Carradosa”

Gdy byłem młody, uwielbiałem czytać opowiadania Bramaha o niewidomym detektywie Maxie Carradosie. Carrados miał niesamowicie czuły słuch, węch i dotyk, a jego pomysłowe dedukcje były niezmiennie błyskotliwe; oczywiście był nieustraszony, a oprócz tego bogaty miał posiadłość, lokaja i szofera, który zastępował mu oczy. Wszystko, co potrzebne obdarzonemu wyobraźnią młodemu

czytelnikowi, którym byłem. Czytałem każdą książkę, jaka mi wpadła w ręce; głos mojego czytelnika znałem lepiej niż głosy znajomych. W czasie pomiędzy lekturą a pracą matematyka, łatwo mogłem wycofać się ze świata swych doświadczeń w „werbalną nierzeczywistość” Cutsfortha. Paplałem jak Helen Keller o kształtach chmur, kolorach kwiatów i tak dalej. Świat stawał się tylko szeregiem tekstów; brzmi to jak jakiś dekonstrukcjonizm, prawda? Oczywiście, gdy byłem już starszy, bardzo mnie zainteresowali dekonstrukcyjniści zeszłego wieku. Świat jako tekst - „Początki geometrii” Husserla mają dwadzieścia dwie strony, a „Wstęp do początków geometrii” Derridy sto pięćdziesiąt trzy - rozumiecie, dlaczego to do mnie przemawiało. Jeśli, jak twierdzą dekonstrukcyjniści, świat jest tylko zbiorem tekstów, a ja potrafię czytać, to nic nie tracę przez swoją ślepotę, prawda?

Młodzi potrafią być bardzo uparci i bardzo niemądrzy.

* * *

- No dobra, Jeremy - powiedziałem. - Załatw mi spotkanie z tym twoim tajemniczym obiektem, który to wszystko rysuje.

- Naprawdę chcesz? - spytał, starając się ukryć podniecenie.

- Jasne - odparłem. - Bez tego nic więcej nie wykombinuję.

Tak, to mój własny podtekst; jestem jednak lepszy w ukrywaniu takich rzeczy niż Jeremy.

- A do czego doszedłeś? Czy coś ci mówią te diagramy?

- Niewiele. Znasz mnie, Jeremy. Rysunki to mój słaby punkt. Wolałbym raczej, żeby robiła to w modelach, albo opisowo lub słownie. Musisz ją sprowadzić, jeżeli chcesz, żebym ciągnął dalej.

- No dobrze, zobaczę, co da się zrobić. Tylko że ona niewiele pomoże. Sam się przekonasz.

Jednak był zadowolony.

*

Kiedyś w liceum wychodziłem z sali gimnastycznej i usłyszałem trenera (jednego z najlepszych nauczycieli, jakich kiedykolwiek miałem), który rozmawiał z kimś w biurze (musiał stać do mnie plecami).

- Nie fizyczne kalectwo będzie problemem dla większości tych dzieciaków. To kwestie emocjonalne, które zwykle się z kalectwem wiążą, staną się prawdziwym ciężarem.

*

Siedziałem u siebie w pokoju i słuchałem czytelnika. Jego równy, monotony głos (dla niektórych moich kolegów niemal zupełnie niezrozumiały) po tych wszystkich latach stał się dla mnie głosem jakby bezradnego, głupiego przyjaciela. Nazywałem go Georgem i stale wprogramowywałem w niego nowe zasady wymowy, ale bez skutku. Zawsze wynajdywał sposoby zarzynania języka. Położyłem książkę drukiem w dół na szybie.

- Szukam pierwszej linii - zakrakał George, a skaner zaczął rozbijać się po jego wnętrzu.

Po czym zaczął czytać Roberta Toretiego, cytującego i omawiającego Ernsta Macha. (Postarajcie się usłyszeć te zdania wymawiane tak nieprawidłowo, sztywno i nieprzyjemnie, jak tylko można sobie wyobrazić).

- „Nasze wyobrażenia przestrzeni zakorzenione są w naszej budowie fizjologicznej (by podkreślić spację George podnosi głos, co równocześnie wyraźnie zwalnia jego tempo). Koncepcje geometryczne są rezultatem idealizacji fizycznych doświadczeń przestrzeni”. Przestrzeń fizjologiczna jest całkowicie różna od nieskończonej, izotropowej, metrycznej przestrzeni geometrii klasycznej. W najlepszym razie można jej nadać strukturę przestrzeni topologicznej. Kiedy spojrzymy na nią w ten

sposób, naturalną drogą rozpada się na kilka składowych: przestrzeń wizualna, czy też optyczna, przestrzeń taktylna albo dotykowa, przestrzeń audytywna itd. Przestrzeń optyczna jest anizotropowa, skończona i ograniczona. Przestrzeń dotykowa czy też przestrzeń naszej skóry odpowiada dwuwymiarowej, skończonej, nieograniczonej (domkniętej) przestrzeni riemannowskiej. Otóż jest to nonsens, gdyż przestrzenie Riemanna są metryczne, w przeciwieństwie do przestrzeni dotykowej. Rozumiem przez to, że Mach chce powiedzieć, iż można tę ostatnią uznać za dwuwymiarową, zwartą i spójną przestrzeń topologiczną. Mach nie podkreśla wystarczająco niespójności przestrzeni dotykowej z optyczną...”

Usłyszałem cztery szybkie stuknięcia do drzwi. Nacisnąłem przycisk stopu na George’u.

- Proszę - zawołałem. Drzwi otworzyły się.

- Carlos?

- Co słyhać, Jeremy?

- Wszystko w porządku. Przyprowadziłem Mary Unser... wiesz, tę, która rysowała...

Wstałem czując/słyszając obecność drugiej osoby w pokoju. Zdarzają się przypadki (na przykład ten), kiedy się wie, że ta druga osoba jest w jakiś niezwykły, nieokreślony sposób inna czy też... (nasz język nie jest dostosowany do wyrażania doświadczeń niewidomego).

- Miło mi cię poznać.

Mówiłem, że potrafię odróżnić ciemność od światła. Istotnie potrafię, lecz rzadko ta informacja okazuje się użyteczna. Teraz jednak zauważyłem ze zdumieniem, że, wzrok pochłania moją uwagę - ponieważ ta kobieta była ciemniejsza od innych, była czymś w rodzaju kłębka ciemności z wyraźnie jaśniejszą twarzą (czy była to dokładnie jej twarz?).

Długa chwila ciszy. Potem:

- Granicy stoimy n-wymiarowej przestrzeni na - powiedziała. Słyszałem ją zaraz po George’u i uderzyło mnie pewne podobieństwo: mechaniczny rytm słów, jakby brak zrozumienia, typowy dla czytelnika... Poczulem na rękach gęsią skórę.

Za to sam jej głos bił George’a na głowę. Niezwykłe dźwięczny mimo dziwnej intonacji, miał głęboką barwę jak fagot czy lira, a przy tym brzmiał jak głos kogoś, kto zwykle mówi wypuszczając powietrze zatokami. Łączyło się to z nadmiernie rozluźnionymi strunami głosowymi patolodzy wymowy uznają to za wady głośni. Nosowe głosy na ogół nie są przyjemne, ale wystarczy ustawić je dostatecznie nisko...

Odezwała się znowu, wolniej:

- Stoimy na granicy przestrzeni n-wymiarowej - (zdecydowana wada głośni).

- Ho ho! Całkiem nieźle - stwierdził Jeremy. - Jej układ słów zwykle nie jest tak... normalny.

- Takie odniosłem wrażenie - mruknąłem. - Mary, co chcesz przez to powiedzieć?

- Ja... och! - wysoki pisk zagrożenia i bólu. Dłoń podobna do mojej - wąska, silny mięsień u nasady kciuka. Drżała wyraźnie.

- Zajmuję się geometriami przestrzeni topologicznie zespolonych - wyjaśniłem. - Łatwiej niż inni mogę zrozumieć, co mówisz.

- Jesteśmy we wnętrzu nigdy nie widzimy punktami.

- To prawda.

Coś tu było nie w-porządku - coś mi się nie podobało, choć nie potrafiłem określić, co to jest. Czy mówiła w stronę Jeremy’ego? A może do mnie, lecz patrząc na niego? Kłębek cienia w ciemności...

- Mary, dlaczego twoje zdania są tak nieuporządkowane? Wypowiadasz słowa w innej kolejności niż je pomyślałaś. Musisz o tym wiedzieć, skoro nas rozumiesz.

- Złożone... och! - znowu ten dwutonowy pisk. Zadrżała nagle i zaczęła płakać. Posadziliśmy ją na mojej gościnnej kanapce. Jeremy poszedł po wodę, a ja starałem się ją uspokoić. Głaskałem jej włosy (krótkie, lekko pofalowane, rozwichrzone) i korzystając z okazji przeprowadziłem szybkie badanie frenologiczne: czaszka o regularnym kształcie i - o ile mogłem to stwierdzić - nieuszkodzona; skronie szerokie, wyraźne; tak samo oczodoły; typowy ostrosłup nosa, o mostku nie warto wspominać; wąskie, mokre od łez policzki. Chwyciła moją dłoń i ścisnęła mocno, trzy razy szybko; trzy razy powoli, cały czas płacząc i jak w czkawce wyrzucając słowa:

- Boli, stacja, ja, och, złożony koniec, jasność, światło, zgięcie przestrzeni, och, ochhh...

No cóż, pytanie wprost nie zawsze jest najlepszą metodą. Jeremy wrócił ze szklanką wody. Wypiła trochę i chyba się uspokoiła.

- Może później spróbujemy jeszcze raz - mruknął Jeremy. - Chociaż...

Nie wyglądał na zaskoczonego jej atakiem.

- Naturalnie - zgodziłem się. - Posłuchaj, Mary, porozmawiamy jeszcze raz, kiedy poczujesz się lepiej.

*

Jeremy pozbył się jej (jak? z kim ją zostawił?) i wrócił na siódme piętro.

- Co się jej stało, do diabła? - spytałem gniewnie. - Dlaczego jest taka?

- Nie jesteśmy zupełnie pewni - odpowiedział wolno. - Była jednym z naukowców pracujących w Piątej Bazie w Ciołkowskim, wiesz, w górach po drugiej stronie Księżyca. Jest astronomem i kosmologiem. No więc - muszę cię prosić, żebyś zachował to w tajemnicy - pewnego dnia Piąta Baza przestała nadawać. Kiedy pojechali sprawdzić, co się tam stało, znaleźli tylko ją, w stanie zbliżonym do katatonii. Żadnego znaku po pozostałych naukowcach i załodze Bazy. Osiemnastu ludzi przepadło bez śladu. Nie znaleźli też niczego, co mogłoby wyjaśnić, jak to się stało.

Chrząknąłem.

- A co przypuszczają?

- Wciąż nie są pewni. Najwyraźniej w rejonie Bazy nikogo nie było, nie mogło być i tak dalej. Rosjanie, którzy mieli tam dziesięciu ludzi, sądzą, że to może pierwszy kontakt. Wiesz obcy zabrali tamtych i jakoś rozstroili procesy myślowe Mary. Zostawili ją jako posłańca, który jednak nie spełnia swojego zadania. Skan jej mózgu daje dziwaczne wyniki. Wiem, że to nie brzmi prawdopodobnie...

- Nie.

- Ale to jedyna teoria wyjaśniająca wszystko, co tam znaleźli. Nie mówią mi wszystkiego. Robimy co możemy, żeby dostać jej zeznanie, ale nie jest to proste. Sam widziałeś. Chyba najlepiej czuje się rysując diagramy.

- Następnym razem od tego zaczniemy.

- Dobrze. Masz jeszcze jakieś pomysły?

- Nie - skłamałem. - Kiedy możesz ją znowu przyprowadzić?

*

Jak gdybym - tylko przez to, że jestem ślepy - nie potrafił poznać, że ktoś chce mnie wykiwać. Ze złością uderzyłem pięścią w otwartą dłoń. Robili duży błąd, bardzo duży! Nie wiedzieli, jak wiele odśłania głos. Nieznana wyrazistość głosu odkrywa tak wiele - język nie jest w stanie tego opisać, potrzebna jest matematyka emocji... W szkole dla ociemniałych, do której chodziłem przez pewien czas na niektóre lekcje, często zdarzało się, że nowy nauczyciel z miejsca budził niechęć.

Działo się to przez jakiś fałsz w głosie, protekcyjony ton, litość lub samozadowolenie, które sam nauczyciel (i jego zwierzchnicy) uważali za całkowicie ukryte, jeżeli w ogóle o nim wiedzieli. Dla uczniów rzecz była jednak zupełnie jasna, ponieważ głos (jeśli prawdą jest to, co słyszałem) mówi o wiele więcej niż wyraz twarzy; z pewnością trudniej go kontrolować. Jest to jeden z powodów, dla których większość pokazów aktorskich wcale mnie nie bawi - głosy są tak wystylizowane, tak oderwane od realnego życia...

A tutaj, pomyślałem, oglądałem pokaz.

Jest takie miejsce w „Visions de l’Amen” Oliviera Messiaena, kiedy jeden fortepian gra ciąg głównych akordów o bardzo tradycyjnej harmonice, podczas gdy z drugiego pary wysokich nut uderzają w dźwięki tamtego i rozbijają ich harmonię krzyżując: „Coś się nie zgadza! Coś się nie zgadza!”

Siedziałem przy biurku i kiwałem się na boki przeżywając taką właśnie chwilę. Coś się nie zgadzało.

Spokojny już i opanowany, zadzwoniłem do sekretarki wydziału, która mogła obserwować hali przy windach.

- Delphina, czy Jeremy już wyszedł?

- Tak, Carlos. Chcesz, żebym spróbowała go jeszcze złapać?

- Nie. Potrzebna mi jest książka, którą zostawił w swoim gabinecie. Mógłbym wziąć na chwilę klucz?

- Jasne.

Dostałem klucz, wszedłem do pokoju Jeremy’ego i zamknąłem drzwi. Jeden z tych miniczytników, które załatwił mi James Gold, pasował akurat pod zatrząskową wtyczkę kabla telefonicznego. Potem jeszcze mikrofon w biurku, za szufladą, i wyszedłem. (Widzicie, każdego dnia waży się na zuchwałość, żeby przetrwać. Ale oni o tym nie wiedzieli).

U siebie zamknąłem drzwi na klucz i zacząłem poszukiwania. Mój pokój jest spory: dwie kanapki, kilka wysokich regałów, biurko, szafka-archiwum, stolik do kawy... Kiedy przesuwali przepierzenia na siódmym piętrze Biblioteki Gelmana, żeby zrobić więcej miejsca, Delphina i George Hampton (który był wtedy dyrektorem) podeszli do mnie trochę zdenerwowani.

- Carlos, nie będziesz miał nic przeciw temu, żeby dostać pokój bez okien, prawda?

Roześmiałem się. Wszyscy profesorowie dostawali pokoje z oknami, na obwodzie budynku.

- Widzisz, i tak te okna się nie otwierają, więc nie stracisz żadnych podmuchów wiatru. A jeśli weźmiesz ten pokój w środku, to będziemy mieli dość miejsca na porządny bufet.

- Dobra - zgodziłem się nie wspominając, że mogę widzieć słońce, że rozróżniam ciemność i światło. Zezłościło mnie, że o tym nie pamiętali, że nie przyszło im do głowy zapytać. Nazwałem więc swój pokój „Lochem”. Miałem tam dużo miejsca, ale ani jednego okna. W korytarzach okien też nie było, żyłem więc bez słońca, ale nie skarżyłem się.

Teraz szukałem chodząc na czworakach, choć zaczynało mi się to wydawać beznadziejne. A jednak znalazłem: jeden pod kanapą, drugi w telefonie. Podśluch. Zostawiłem wszystko jak było i poszedłem do domu.

Domem było małe mieszkanie na najwyższym piętrze budynku w pobliżu skrzyżowania ulic 21-szej i N. Przypuszczałem, że też jest na podsłuchu. Nastawiłem „Telemusik” Stockhausena tak głośno, jak tylko mogłem wytrzymać, w nadziei, że wprawię swoich słuchaczy w pasję samobójczą, a przynajmniej doprowadzę do bólu głowy. Potem zrobiłem sobie kanapkę i połknąłem ją ze złością.

Wyobraziłem sobie, że jestem kapitanem żaglowca (jak Horatio Hornblower) i - dzięki swemu wyczuciu wiatru - najlepszym dowódcą we flocie. Musieli ewakuować miasto i wszyscy, których

znałem, znaleźli się na pokładzie zależni ode mnie. Ale dopadły nas, z brzegiem po zawietrznej, dwa okręty liniowe. W wymianie strzałów (huk dział, zapach prochu i krwi, jęki rannych niby krzyk mew) wszyscy znajomi padli - rozerwani na części, przebici wielkimi odłamkami drewna, z głowami urwanymi przez pociski - co tylko chcecie. I kiedy byli już tylko ciałami na posypanym piaskiem potrzaskanym pokładzie, wyczułem ostatnią salwę burtową. Wszystkie kule zbiegały się ku mnie, jakbym był punktem 0 na wierzchołku stożka. Natychmiastowe unicestwienie i śmierć.

Ocknąłem się czując lekki niesmak wobec siebie. Jednakże ego broni się aktywnie likwidując tych, którzy atakują jego miłość własną'. Dlatego Cutsforth nazywa tego typu fantazje niewidomych obiektów zdrowymi (w każdym razie u czternastolatków). Niech będzie. Na zdrowie. Pieprzę was wszystkich.

*

Geometria to język tak jasny i precyzyjny, jak tylko człowiek może wymyślić. W wielu przypadkach definicje pojęć i operacji są określone wprost, by osiągnąć pełną zrozumiałość. Można na przykład powiedzieć:

Niech (nawiasy okrągłe) oznaczają Wnioski.

Niech [nawiasy kwadratowe] oznaczają przesłanki.

Niech {nawiasy klamrowe} oznaczają...

Lecz czy pozostanie „to prawdą w tym innym języku, w mowie serca?

*

Następnego popołudnia grałem w dźwiękopiłkę ze swoje drużyną - gorące promienie słońca na mojej twarzy i ramionach, wiosenny zapach kwiatów i trawy. Ramon przy kiju zaliczył sześć biegów zanim wszedłem (dźwiękopiłka to kombinacja krykieta/softballa, rozgrywana softballowym sprzętem [- To dowodzi, że można grać w krykieta na ślepo - powiedziała mi kiedyś jakaś anglofobka {była Irlandką}]). Wszedłem, wyrobiłem dwa biegi i wypadłem. Za silny zamach. Doszedłem do wniosku, że wolę grę z tyłu. Rzut piłki w oddali, wznoszącej się krótkim łukiem, trzask kija, słyszę ją, jak leci w górę i na zewnątrz - do mnie! - przesuвам się w jej stronę, atak lęku, zasłanianie rękawicą twarz, gdy nadlatuje, chwytam, skaczę za nią, odtaczając się na bok - podnoszę - głos Ramona, wołającego wyraźnie „Tutaj! Tutaj!” - i ciskam z rozmachu, w który wkładam wszystko - i wtedy, czasem, słyszę, jak piłka szybuje daleko i trafia w rękawicę Ramona. To wspaniałe. Nie ma nic lepszego od gry z tyłu.

Przy następnym wejściu trafiłem raz m o c n o i to też jest wspaniałe. To uczucie przepływa po twoich ramionach w górę i ogarnia cię całego.

Wracając do domu myślałem o Maxie Carradosie, niewidomym detektywie i Horatio Hornblowerze, widzącym kapitanie marynarki. I jeszcze o Tomasie Core, niewidomym senatorze z Oklahomy. Jako chłopiec marzył o tym, że zostanie senatorem. Czytał „Sprawozdania Kongresu”, włączył się do grupy dyskusyjnej, całe swoje życie zorganizował, żeby zrealizować to marzenie. I został senatorem. Znałem takie fantazje, te sny nastolatka o potędze. Całe życie śniłem, że zostanę matematykiem. I oto byłem nim. Więc jest to możliwe. Można coś sobie wyobrazić, a potem to zrealizować.

Lecz to oznaczało, z definicji, że wyobrażało się rzecz możliwą. Tyle, że nie zawsze da się z góry określić, czy coś jest możliwe czy nie. I nawet wtedy kiedy jest, też nie ma gwarancji powodzenia.

Drużyna nazywała się „Oferty Helen Keller” (było w niej także paru niezłych [pochodzili

{oczywiście} z Australii], ale nie o tym chciałem mówić). Smutne, że taka inteligentna kobieta była tak niewłaściwie wykształcona - nie tyle przez Sullivana, co przez całą epokę, która wlała w nią przesłodzony wiktoriański sentymentalizm. Wioski rybackie w Kornwalii wyglądają niezwykle malowniczo, czy oglądane z brzegu, czy ze wzgórz, gdy wszystkie łodzie suną do kei lub żeglują po zatoce... Kiedy księżyc, ogromny i lśniący, płynie po niebie, pozostawiając na wodzie długą smugę jasności, jak pług tnący srebrzystą ziemię, zdolna jestem jedynie westchnąć z zachwytu. Dajże spokój, Helen, to właśnie jest życie w świecie tekstów.

Czyja sam jednak nie przeżywam większej części swego życia (całe?) w tekstach, które są dla mnie przynajmniej tak samo nierealne, jak nierealne było dla Helen Keller światło księżyca na wodzie? Te n-wymiarowe rozmaitości... Przypuszczam, że podstawą moich uzdolnień była doświadczona rzeczywistość przestrzeni dotykowej, która jednak różniła się bardzo od geometrii. Tak samo jak aktualna sytuacja, z Jeremym i Mary odgrywającymi sztukę, której nie rozumiałem... tak samo jak mój plan jej rozwiązania. Werbalizm, słowa przeciwko rzeczywistości...

Pogładziłem rękawicę, jeszcze raz przeżywając uderzenie kija o piłkę. Rozwazałem swój plan.

*

Niewiele mówiłem, kiedy Jeremy Blasingame znowu przyprowadził do mnie Mary Unser. Wyjąłem „gościnnie” zapas papieru i ołówków i usadziłem ją przy stoliku. Przyniosłem moje modele: subatomowe cząstki rozpadające się w rozprysku drucianych linii jak woda z prysznicą, podobne do słomek patyczki Taylora do konstruowania modeli i wszelkiego rodzaju wielościenne klocki. Usiadłem z wypukłymi kartami, które skopiowałem z jej poprzednich rysunków, z modelami, które próbowałem zrobić i zacząłem zadawać proste pytania.

- Co oznacza ta linia? Czy ta przebiega z przodu czy z tyłu? Czy to R'? Czy dobrze to zrobiłem?

A ona wydawała z siebie coś w rodzaju śmiechu albo mówiła „Nie, nie, nie nie” (żadnych kłopotów z kolejnością wyrazów) i rysowała jak szalona. Brałem te rysunki, gdy tylko je kończyła, wkładałem do mojego Xeroxa, wyjmowałem wypukłe, grube kartki i kazałem prowadzić po nich swoje palce. Nawet wtedy trudno było je zrozumieć, więc z jękiem zniechęcenia przerzucała się na modele z patyczków, składając ze sobą trójkąty, równoległe itp. To było prostsze, lecz w końcu tutaj także dotarła do granicy.

- Potrzebuję jeszcze rysunków - powiedziała.

- Proszę. Napisz wszystko co chcesz.

Pisała, potem czytała, mi głośno, albo przepuszczałem strony przez kopiarke Xeroxa oznaczoną translacją na Braille'a. I tak pracowaliśmy, a Jeremy cały czas zaglądał nam przez ramię.

W końcu dotarliśmy do samych obrzeży mojej pracy, podążając za cząsteczkami subatomowymi aż do mikro wymiarów, gdzie zdawały się wykonywać swoje „skoki”. Zaproponowałem n-wymiarową rozmaitość topologiczną, gdzie $1 < n < \infty$ nieskończoność, tak że odwzorowywane kontinuum oscyluje pomiędzy jednym a pewnym skończonym wymiarem, przebiegając od linii krzywej do czegoś w rodzaju n-wymiarowego szwajcarskiego sera - jeśli odpowiada wam to porównanie - zależnie od ilości energii ujawniającej się w obszarze we wszystkich czterech „postaciach”: elektromagnetyzmu, grawitacji, silnych i słabych oddziaływań. Geometria tej rozmaitości-wzorca (tak bliska doświadczeniom przestrzeni dotykowej) zwróciła, jak już mówiłem, uwagę fizyków z CERN i SLAC. O ile dobrze rozumiem, pozostawały jeszcze ciągle pewne nie wyjaśnione wyniki. Prawda była taka, że nieopublikowałem tej pracy.

Siedziałem tutaj „dyskutując” z młodą kobietą, która w normalnej rozmowie nie potrafiła sformułować zdania - a w tej dziedzinie wyrażała się w sposób doskonale spójny. Która w istocie

dyskutowała (dowiadawała się?) o mojej pracy.

Tej pracy, o którą Jeremy Blasingame zawsze mnie wypytywał.

Westchnąłem. Trwało to już dwie czy trzy godziny. Przeciągnąłem się na kanapce. Mary chwyciła moją dłoń i ścisnęła uspokajająco. Nie wiedziałem, co to miało znaczyć.

- Mam dość.

- Czuję się lepiej - oświadczyła. - Łatwiej mówić tak... w ten sposób.

- Aha - mruknąłem. Podniosłem model pozytronu uderzającego w „stacjonarny” mion: drucziane drzewo, którego pień eksploduje nagle w masę wijących się gałęzi... Tak właśnie było: jeden zbiór zdarzeń i pełny rozrzut wyjaśnień. A jednak, generalnie, masa cząstek wystrzeliwuje w jednym kierunku (prawdy przestrzeni dotykowej).

Puściła moją dłoń, by zrobić ostatni rysunek. Potem przekserowała go dla mnie i poprowadziła mi palce po wypukłych liniach kopii.

Było to znowu twierdzenie Desarguesa.

*

- Panie Blasingame, mogę prosić o szklanek wody? - powiedziała wtedy.

Jeremy wyszedł do hallu, a ona szybko chwyciła mój palec wskazujący (poduszczyka spłaszczyła się od zbyt dużego nacisku, aż poczułem ból), ścisnęła dwa razy, dźgnęła nim najpierw w swoją nogę, potem w rysunek, przesuwając po jednym z trójkątów. Powtórzyła tę operację, dotknęła mojej nogi i przesunęła mój palec po drugim trójkącie. Następnie przejechała po prostej generowanej przez rzut dwóch trójkątów, tam i z powrotem. O co jej chodziło?

Jeremy wrócił i puściła moją rękę. Po chwili, ze zwykłymi uprzejmościami (mocny uścisk, drżąca dłoń) wyszli z pokoju.

- Jeremy - spytałem, kiedy wrócił - czy byłaby możliwość porozmawiania z nią w cztery oczy? Wydaje mi się, że w twojej obecności jest nerwowa; wiesz, skojarzenia. Ma interesujące spojrzenie na rozmaitości n-wymiarowe, ale rozprasza się, kiedy przerywa, żeby coś do ciebie powiedzieć. Chciałbym ją zabrać na spacer, może nad kanał albo nad Basen Pływowy, i wszystko omówić. To mogłoby przynieść wyniki, jakich oczekujesz.

- Zobaczą, co na to powiedzą - odparł Jeremy pozbawionym wyrazu głosem.

Tego wieczoru wsadziłem w uszy mikrosluchawki i puściłem taśmę z rozmową telefoniczną Jeremy'ego.

- Chce porozmawiać z nią sam na sam - powiedział, gdy tylko ktoś podniósł słuchawkę.

- Świetnie - odrzekł ten ktoś tenorem. - Jest na to przygotowana.

- Ten weekend?

- Jeśli się zgodzi.

I koniec.

*

Lubię muzykę. Najczęściej słucham kompozytorów dwudziestego wieku, ponieważ wielu z nich tworzyło muzykę z dźwięków świata, w którym dziś żyjemy, świata odrzutowców, syren i przemysłowej maszynierii, lecz także ptasich treli, szumu drzew i ludzkich głosów. Messiaen, Partch, Reich, Glass, Shapiro, Subotnik, Ligeti, Penderecki-pierwsi odkrywcy tego, co dzieje się poza orkiestrą, w dala od klasycznej tradycji - pozostają dla mnie głosami naszego czasu, mówią do mnie. W istocie mówią nawet w moim imieniu; w ich dysonansach, zmieszaniu i gniewie słyszę ekspresję własnego ja. Słucham więc ich złożonej, trudnej muzyki, gdyż ją rozumiem, a to sprawia mi

przyjemność. A także ponieważ słuchając uczestnicząc w niej w pełni, prześcigam, nikt nie może wnieść więcej do tego aktu niż ja. Jestem u steru.

Słuchałem muzyki.

*

Widzicie, n-wymiarowe rozmaitości... jeżeli zrozumiemy je na tyle, by nimi manipulować, by wykorzystać ich energię.. tak, w tamtych cząstkach zawarta jest straszliwa energia. Ten rodzaj energii oznacza siłę, a siła... przyciąga silnych. Lub tych, co jej pragną, walczą o nią. Zaczynałem wyczuwać skalę zagrożenia.

*

Milczała, gdy szliśmy przez Mali w stronę pomnika Lincolna. Chyba powstrzymałaby mnie, gdybym zaczął mówić o czymś ważnym. Wiedziałem jednak dość, by tego nie robić i chyba ona zdawała sobie sprawę z tego, że wiem, że rias podsłuchują. Trzymałem ja lekko lewą ręką za ramię, trochę powyżej łokcia i pozwalałem, by nas prowadziła. Był pogodny, wietrzny dzień, od czasu do czasu jakaś chmura na minutę czy dwie zasłaniała słońce. Od strony jeziora dochodziła lekko stęchła woń wilgotnych wodorostów, zabarwiająca wszystkie inne zapachy: trawę, kurz, zmieszane pasemko gazu z butli i woni gotowanego mięsa... Obszar ciemności wirujący wokół Pomnika Pamięci Wietnamu. Gołębie wykrzykiwały swoje nieproporcjonalnie głośne gruchania i odlatywały trzepocąc skrzydłami, kiedy przechodziliśmy przez ich zgromadzenia. Siedliśmy na niedawno przyciętej trawie. Przesunąłem dłonią po sztywnych źdźbłach.

Interesujący proces, ta rozmowa! Żadnych komunikatów wizualnych, w każdym razie nie dla mnie; poza tym mogli nas obserwować. (Częsty lęk niewidomych - strach przed obserwacją - tutaj był realny). Nie mogliśmy też swobodnie rozmawiać, a przy tym musieliśmy coś mówić, by Blasingame i jego przyjaciele nie domyślili się, że coś podejrzewam.

- Ładny dziś dzień.

- Tak. Chciałoby się popływać w taką pogodę.

- Naprawdę?

- Tak.

Jednocześnie cały czas dwa palce ścisnęły jeden palec. Ręce są moimi oczami, zawsze były. Teraz stały się równie pełne wyrazu jak głos, tak wrażliwe, jak tylko może być dotyk - gdyż w przestrzeń dotykową rzutowaliśmy naszą niezwykle ważną konwersację. Wszystko w porządku? Tak, w porządku. Wiesz, o co tu chodzi? Niezupełnie, nie mogą wyjaśnić.

- W takim razie przejdźmy się do przystani. Weźmy łódkę i popływamy w Basenie.

- Dużo lepiej się dzisiaj wysławiasz - zauważyłem.

Trzy raz mocno ścisnęła moją dłoń. Fałszywa informacja?

- Ja... miałam... elektrowstrząs - mówiła niewyraźnie, nie do końca kontrolowała swój głos.

- Chyba ci pomógł.

- Tak. Czasem pomaga.

- A jak z uporządkowaniem twoich idei matematycznych?

Brzęczący śmiech, głos liry.

- Nie wiem... może są bardziej chaotyczne... procedura komplementarna? Musisz mi powiedzieć.

- Czy jako kosmolog zajmowałaś się tym tematem?

- Topologia mikrowymiarów wydaje się determinować zarówno grawitację jak i słabe

oddziaływania, nie sądzisz?

- Trudno powiedzieć. Nie jestem mocny w fizyce.

Znowu trzy razy ścisnęła mnie za rękę.

- Na pewno miałeś jakieś pomysły w tej dziedzinie.

- Niespecjalnie. A ty?

- Może... kiedyś. Ale moim zdaniem twoje prace mają z tym bezpośredni związek.

- Nic o tym nie wiem.

Pat. Czy tak miało być? Coraz bardziej i bardziej interesowała mnie ta kobieta, której komunikaty do mnie były tak poplątane... Raz jeszcze wydała mi się kłębkim ciemności pośród dnia, wirem, w którym znikало światło, z wyjątkiem otaczającego jej głowę blasku. (Przypuszczam, że wyobrażam sobie wszystko, co „widzę”, zawsze są to wizje dotykowe).

- Czy jesteś ubrana na ciemno?

- Nie bardzo. Czerwień, bez...

Mocniej chwyciłem ją za ramię. Była mniej więcej mojego wzrostu, miała wyraźnie zarysowane mięśnie, mocno odstawały od żeber.

- Na pewno pływasz.

- Nie, podnosiłam ciężary. Kazali nam, na Lunie..

- Na Lunie - powtórzyłam.

- Tak - odparła i zamilkła.

Sytuacja była niemożliwa. Nie byłem jej całkiem pewien jako sprzymierzeńca - właściwie to uważałem, że kłam - wyczuwałem jednak jakąś ukrytą sympatię, wrażenie wspólnej konspiracji, tym silniejsze, im dłużej byliśmy razem. Problem polegał na znaczeniu tego uczucia. Bez swobodnej rozmowy trudno było się czegoś dowiedzieć, mnie, przierzucanemu w różne strony burzliwymi prądami jej zachowań. Mogłem się tylko domyślać, o co jej chodzi. I co nasi słuchacze wywnioskują z tego - spędzonego głównie w milczeniu - słonecznego dnia.

Pedałowaliśmy więc po Basenie Pływowym, od czasu do czasu wymieniając uwagi na temat tego, co działo się wokół. Uwielbiałem poczucie przebywania na wodzie - delikatne kołysanie, gdy przepływały łódki, wilgotne, lekko zastałe powietrze...

- Czy wiśnie jeszcze kwitną?

- Tak. Ich czas już minął, ale całkiem niedawno. To piękne. O, tutaj... - wychyliła się - ta gałązka niedługo by zatonała - włożyła mi ją do ręki. Przysunąłem kwiaty do nosa. - Czy pachną?

- Nie, nie bardzo - odparłem. - Podobno im piękniejsze kwiaty, tym mniej pachną. Zauważyłaś to?

- Chyba tak. Lubię zapach róż.

- Jest bardzo delikatny. Te kwiaty muszą być piękne, nie pachną prawie wcale.

- En masse są śliczne. Szkoda, że nie możesz ich zobaczyć.

Wzruszyłem ramionami.

- A ja żałuję, że nie możesz dotknąć ich płatków jak ja, ani odczuć, jak kołyszemy się na wodzie. Mam dość danych zmysłowych, by nie czuć się pokrzywdzony.

- Tak... chyba masz rację-jej dłoń pozostała na mojej.

- Chyba odплыnęliśmy już daleko - zauważyłem. Tak, że nie widać nas dobrze z brzegu, miało to oznaczać.

- Daleko od przystani. Jesteśmy prawie po drugiej stronie Basenu.

Wysunąłem rękę spod jej dłoni i położyłem na ramieniu. Zagłębienie za jej obojczykiem. Ten kontakt, ta rozmowa dotyku... najbardziej wyrazista jest konwersacja dłoni z dłonią, więc znowu

ująłem jej rękę. Nasze palce splątały się jakby przypadkowo, badały. Krzyki i śmiech dzieci w łódkach gdzieś z lewej strony, głosy pełne podniecenia. Jak mówić językiem dotyku?

Cóż, wszyscy go znamy. Końce palców, muskające linie na dłoni, głaszczące delikatne włoski na grzbiecie ręki; naciskające na siebie palce: to są zdania. Trudno jest kłamać w tym języku. Zmysłowe, kocie przeciągnięcie pod moimi palcami...

- Przed nami czysty tor - powiedziała po pewnym czasie głosem nabrzmiętym od przydźwięków.

- Węgla pod kotły! - krzyknąłem. - Furda torpedy!

Z bulgocącym klik-klik-klik popedałowaliśmy przez Basen czując świeży, wilgotny wiatr i słońce na twarzach, śmiejąc się, gdy spływało z nas napięcie (fagot i baryton), krzycząc wesoło „Rzuć dwa!” i „Rafa przed dziobem!”. Splecione ręce ścisnęły się mocno, gdy pedałowaliśmy mocniej i mocniej... „W dół Potomacu!”, „Za morze!”, „Przez Słupy Herkulesa!”, „Po Złote Runo”. Kropelki wody w powietrzu...

Przestała kręcić pedałami i skręciliśmy w lewo.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała cicho.

Pozwoliliśmy, by łódka dryfowała w stronę przystani. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa.

*

Pluskwy poinformowały mnie, że do mojego pokoju włamało się dwóch, może trzech ludzi, z których tylko jeden się odezwał - mężczyzna, ściszym głosem.

- Sprawdźcie szafkę na papierzy.

Wysunęli szuflady szafki (znajomy dźwięk kóleczek na kulkowych łożyskach), szuflady biurka też; potem głosy przerzucanych papierów i przestawianych przedmiotów.

Przesłuchałem także ciekawą rozmowę. Telefon był z zewnątrz.

- Tak? - powiedział Jeremy.

- Mówi, że on nie chce podać żadnych szczegółów - poinformował męski głos, ten sam, z którym Jeremy rozmawiał poprzednio.

- To mnie nie dziwi. Ale musi mieć...

- Tak, wiem. Zrób to, o czym rozmawialiśmy.

Pewnie chodziło o włamanie.

- Dobrze.

I koniec.

*

Na pewno nawet im do głowy nie przyszło, że mógłbym wykorzystać ich metody przeciw nim, stanąć okoniem czy choćby zauważyć, że dzieje się coś dziwnego. Złościło mnie to jak diabli.

*

Równocześnie bałem się. Czuje się linie siły, zbiegające się w Waszyngtonie; czuje się walkę o władzę między mglistymi grupami otaczającymi oficjalny rząd, czyta się o nie wyjaśnionych morderstwach, o dziwnych ludziach, zajmujących się czymś tajemniczym... Jako człowiek niewidomy byłem oddalony od tego mgławicowego świata intryg i ukrytych sił. Tkwiłem gdzieś na jego skraju. Powodem było kalectwo („Nikt nie skrzywdzi ślepeca”). Teraz wiedziałem, że stałem się jego częścią, że zostałem wciągnięty i pozostawiony o własnych siłach. To było przerażające.

*

Pewnej nocy nurzałem się w „Muzyce kameralnej chmur” Harry’ego Partcha, unoszony przez ogromne, szkliste nuty, kiedy zadzwonił dzwonek. Podniosłem słuchawkę domofonu.

- Halo?

- To ja, Mary Unser. Mogę wejść?

- Jasne.

Nacisnąłem guzik i wyszedłem na korytarz. Weszła na górę sama.

- Przepraszam, że nachodzę cię w domu - wykrztusiła bez tchu. Co za głos! - Znalazłam twój adres w książce telefonicznej. Nie powinnam...

Stojąc przede mną dotknęła mojego prawego ramienia. Uniosłem rękę i przytrzymałem jej łokieć.

- Tak?

Śmiech, głośny i nerwowy.

- Nie powinnam tu przychodzić.

Więc niedługo będziesz mieć kłopoty, chciałem powiedzieć. Wiedziała jednak na pewno, że moje mieszkanie jest na podsłuchu. Z pewnością więc miała tu przyjść? Drżała mocno, tak mocno, że obiema rękami chwyciłem ją za ramiona.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Nie - opadające dźwięki oboju, śmiech, który nie był śmiechem.. Wydawała się przestraszona. I to bardzo. Jeżeli gra, pomyślałem, to jest świetna.

- Wejdz - powiedziałem i wprowadziłem ją do środka. Ściszyłem Partcha, ale po krótkim namyśle znowu nastawiłem głośniej. - Usiądź. Na kanapie będzie ci wygodnie - sam się denerwowałem. - Napijesz się czegoś?

Nagle wszystko wydało się nierzeczywiste, jak sen, jedna z moich fantazji. Fantasmagoryjna muzyka chmur dzwoniła do rytmu. Skąd miałem wiedzieć, co jest realne?

- Nie. Albo tak - znowu roześmiała się tym śmiechem, który nie był śmiechem.

- Mam trochę piwa.

Wyjąłem z lodówki dwie butelki i otworzyłem.

- O co więc chodzi? - spytałem siadając obok niej. Popijałem z butelki, gdy mówiła. Ona także przerywała czasem, by pociągnąć długi łyk.

- No, więc wydaje mi się, że im więcej rozumiem z tego, co mówisz o transferze energii pomiędzy n-wymiarowymi rozmaitościami, tym lepiej pojmuję to... co mi się przydarzyło - teraz jej głos brzmiał inaczej - przydźwięki zniknęły, był mniej dźwięczny, mniej nosowy.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - odparłem. - To nie są sprawy, o których mógłbym rozmawiać, a nawet pisać. Co potrafiłem wyrazić, wyraziłem. W moich pracach - ostatnie słowo powiedziałem trochę głośniej, dla naszej publiczności (czy była?).

- Wiesz... - jej dłoń znów zaczęła drżeć pod moją.

Siedzieliśmy tak bardzo długo i przez cały czas rozmawialiśmy poprzez nasze dłonie. Mówiliśmy o rzeczach, które teraz z trudem mogę sobie przypomnieć, gdyż nie istnieje dla nich odpowiedni język. Były to jednak ważne sprawy.

- Chodź ze mną - powiedziałem w końcu. - Mieszkam na najwyższym piętrze i zrobiłem sobie na dachu coś w rodzaju werandy. Skończ swoje piwo. Noc jest ciepła, na zewnątrz poczujesz się lepiej.

Przeprowadziłem ją przez kuchnię i komórkę do drzwi na tylne schody.

- Idź na górę.

Wróciłem jeszcze, by nastawić „Koncert koloński” Jarretta, tak głośno, żebyśmy mogli go słyszeć. Potem wszedłem po schodach na dach. Moje buty zachrzęściły po sklejonym smołą żwirze.

Było to jedno z moich ulubionych miejsc. Ściany budynku wokół dachu sięgały do piersi, a z dwóch stron wyciągały swe gałęzie wielkie wierzby, tworząc cudowną kryjówkę. Ustawiłem tu wrak wielkiej, zabytkowej kanapy i w niektóre noce, gdy wiatr był silny, a powietrze chłodne, kładłem się z wypukłą, braille'owska planipferą w rękach i słuchając „Map gwiazdnych” Scholza czułem, że dzięki tym projekcjom wiem, co to znaczy widzieć nocne niebo.

- Ładnie tu - stwierdziła.

- Prawda? - ściągnąłem z kanapy plastikową płachtę i usiedliśmy.

- Carlos.

- Tak?

- Ja... ja... - to dwutonowe piśnienie...

Objąłem ją ramieniem.

- Proszę-szepnąłem, nagle zły na samego siebie, - nie teraz. Nie teraz. Odpręż się. Proszę.

Zwróciła się do mnie, opierając głowę o moje ramię. Drżała. Przesunąłem palce przez jej splecione włosy - do ramion, nie dłuższe. Musnąłem uszy, pogładziłem po szyi. Uspokajała się.

Czas mijał, a ja tylko ją pieściłem. Bez żadnej innej myśli, żadnego innego wrażenia. Jak długo to trwało, nie wiem - pół godziny? Może dłużej. Zamruczała cicho, a ja pochyliłem się i pocałowałem ją. Głos Jarretta, krótki krzyk na tle płynnego pasażu fortepianu. Przyciągnęła mnie do siebie, na krótko wstrzymała oddech. Pocałunek stał się intensywny, języki tańczyły swój własny układ. Całym sobą - szyją, plecami, brzuchem, krocze - czułem tylko ten pocałunek. I bez najmniejszej intencji czy oporu zatopiłem się w nim.

Pamiętam, jak znajomy w college'u zapytał mnie kiedyś niepewnie, czy nie mam problemów ze sprawami seksu. „Czy nie jest ci trudno stwierdzić, kiedy one... chcą?” Roześmiałem się. Cały proces, chciałem mu wyjaśnić, był śmiesznie łatwy. Zależność niewidomego od dotyku ustawia go w pozycji uprzywilejowanej, że tak to nazwę. Używając rąk, by zobaczyć twarze, prowadzeni za rękę (zależni), przekraczają to, co Russ nazywa granicą pomiędzy światem nieseksu i światem seksu. A gdy już się ją przekroczy (a partner ma uczucia opiekuńcze)...

Moje ręce badały jej ciało, odkrywając je właśnie tam, w tamtej chwili po raz pierwszy - jeden z najbardziej podniecających elementów całego procesu. Spodziewałem się chyba, że ludzie o wąskich twarzach mają też wąskie biodra (zwykle to prawda, możecie się przekonać), lecz w tym przypadku było inaczej. Jej biodra rozkwitały w kobiecych liniach, które można tylko podziwiać; nigdy się do nich nie przyzwyczajając (nigdy naprawdę [inność drugiej osoby] nie wierząc). Moje palce z własnej inicjatywy wsuwały się pod ubranie, pomiędzy guziki, jak sprytne myszy, chytne, pożądliwe stworzonka, rozpinające zapięcie bluzki, sięgające za plecy, by jednym ruchem odpiąć stanik. Strząsnęła z siebie jedno i drugie i poczułem miękkość jej piersi, gdy szarpnęła za mój pasek. Przekręciłem się, by przyłożyć ucho do jej mostka, całowałem dotykającą mej twarzy wewnętrzną część piersi, słuchałem przemawiających do mnie szybkich uderzeń serca... Odwróciła mnie z powrotem, rozpięła, przerwaliśmy na krótką chwilę, by zrzucić resztę rzeczy, zsuwaliśmy je z siebie niezgrabnie, aż opadły. Wtedy było już tylko ciało z ciałem, skóra ze skórą w pojedynczej przestrzeni dotykowej naładowanej energią, uporczywe tak pieszczoty, usta na ustach, cztery zajęte dłonie, piersi i penis zgniatane pomiędzy dwiema pulsującymi ścianami mięśni.

Skóra jest głosem ostatecznym.

Kochaliśmy się. Wygiąłem ciało (stopy uderzały w poręcz kanapy, wystarczająco szerokiej, lecz trochę krótkiej) i wpuściłem wiatr pomiędzy nas (chłodził nasze spocone ciała), pochyliłem głowę i zacząłem ssać najpierw jedną sutkę, potem drugą... (stając się w pewnym sensie zupełnie bezbronny, jak niemowlę [gdyż dla niewidomych od urodzenia miłość matki jest ważniejsza jeszcze niż dla

pozostałych - niewidome dziecko zależne jest od matki niemal we wszystkim, poczucie permanencji obiektów, edukacja wytwarzająca rozróżnienie pomiędzy sobą a światem, początki mowy, a także wytworzenie własnego języka, kompensującego brak wzroku {czy matka nie wie, że szeroki ruch ręki oznacza „chcę”} i otwierającego drogę do normalnej mowy - bez tego wszystkiego, co tylko matka może zapewnić, niewidome dziecko jest zgubione - bez matczynej miłości, większej niż zwykła macierzyńska miłość, niewidome dziecko najpewniej oszaleje] ponieważ ssanie piersi kochanki przywraca ów pierwotny świat ufności i potrzeby; jestem tego pewien)

...byłem tego pewien nawet wtedy, kiedy kochałem się z tą niezwykłą, inną Mary Unser, kobietą równie mi nieznaną jak każda inna ze spotkanych w życiu. Przy każdym wejściu w nią (walec zakończony stożkiem wślizgujący się w cylinder zakończony nierówną sferą, neuron przy neuronie, całe ich miliony stykające się z sobą po drodze tak, że nie mogłem określić, gdzie kończą się, a zaczyna ona) poznawałem ją coraz lepiej, jej kształt, jej rytmy, rzeczywistość jej nerwów wypowiedaną ruchem i dotykiem (rozpostarte dłonie na moich plecach, biodrach, udach) i tymi urywanymi nutami fagotu jak czyjeś nucenie. „Och” powiedziałem, szczęśliwy tymi wrażeniami, całą tą nową wiedzą czując, jak moja skóra i nerwy wirują niby w porywie wiatru w stronę grzbietu i jąder, by wejść w nią, pograżyć się...

Kiedy skończyliśmy (piski obojów) zsunąłem się zginając kolana tak, że stopy sterczały w górze. Pomachałem palcami na wietrze. Ciche odgłosy ruchu ulicznego grały rodzaj miejskiej muzyki, akompaniującej fortepianowi w mieszkaniu. Z szybu wentylacyjnego dobiegło gruchanie gołębi. Przypominały małpy z zadrutowanymi pyskami, które próbują trajkotać między sobą. Skóra Mary była wilgotna. Polizałem ją” - uwielbiam smak soli. Pasma mroków w moim mętym polu widzenia, kłębiąca się w nim ciemność... Przetoczyła się na bok i moje ręce przesunęły się po niej. Gładkie, twarde wypukłości bicepsów, kilka pieprzyków na plecach, niby małe rodzynki na wpół ukryte pod skórą. Naciskałem je, dotykałem wypukłości kręgosłupa, ukrytych wśród mięśni grzbietu.

Przypomniałem sobie dzień, kiedy nasza klasa w szkole dla niewidomych poszła do muzeum i pozwolono nam dotykać szkieletu. Wszystkie te twarde kości dokładnie na właściwych miejscach - wszystko zgadzało się idealnie, prawdę mówiąc było właśnie takie, jak wyczuwałem pod skórą - nic mnie szczególnie nie zaskoczyło. Pamiętam jednak, że szkielet wstrząsnął mną do tego stopnia, że musiałem wyjść i usiąść na schodach przed wejściem. Po dziś dzień nie wiem, co mnie tak zaszokowało, przypuszczam jednak (wszystkie te twarde przedmioty, które pozostały za mną), że chodziło o coś takiego: byłem przerażony odkryciem, jacy jesteśmy realni!

Szturchnąłem ją łagodnie.

- Więc kim jesteś?

- Nie teraz - a kiedy znów chciałem coś powiedzieć, położyła mi palec na wargach (zapach nas obojga). - Przyjacielem - niski, nosowy szept, jak kamerton, jak głos, który zaczynałem (i to mnie napawało lękiem, gdyż wiedziałem, że jej nie znam) kochać: - Przyjacielem...

*

W pewnym momencie wzrok staje się w myśleniu geometrycznym tylko przeszkodą. Ludzie przyzwyczajeni do wizualizacji twierdzeń (jak w geometrii euklidesowej) docierają do punktu, w n-wymiarowych rozmaitościach czy gdzie indziej, w którym pojęcia po prostu nie dadzą się zwizualizować. Próby dokonania tego prowadzą jedynie do zamieszania i nieporozumień. Poza tym punktem geometria wnętrza, geometria dotykowa, kierowana estetyką kinetyczną, jest prawdopodobnie najlepszym zmysłowym analogonem, jaki możemy znaleźć. Tak, że czasami ja także jestem uprzywilejowany.

Lecz w rzeczywistym świecie, w geometriach serca, czy kiedykolwiek potrafię uzyskać taką przewagę? Czy są rzeczy, które wyczuwamy, a których nie da się zobaczyć?

*

Podstawowym problemem dla każdego, kto wnika w relacje pomiędzy geometrią a światem realnym, jest pytanie, w jaki sposób dokonać przejścia od niekomunikowalnych impresji zmysłowej rzeczywistości (nieokreślonych pól sił, zagrożenia) do ogólnie przyjętych abstrakcji matematycznych (wyjaśnień). Czy też, jak ujmuje to Edmund Husserl w „Początkach geometrii” (a tego szczególnego ranka George wygłaszał mi to zdanie w sposób szczytowo niezdarzy): Jak geometryczna idealizacja (czy jakakolwiek naukowa idealizacja) wypływa ze swego pierwotnego, intrapersonalnego źródła, gdzie jest jedynie strukturę wewnętrzną świadomej przestrzeni ducha pierwszego odkrywcy, w swą idealną obiektywizację?

W tym właśnie momencie Jeremy zapukał do drzwi - cztery krótkie stuknięcia.

- Wejdz, Jeremy - powiedziałem czując przyspieszone bicie serca.

Otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- Zaparzyłem właśnie kawę - oznajmił. - Może wpadniesz na filiżankę.

Poszedłem więc do jego pokoju, pachnącego cudownie francuską kawą. Usiadłem w jednym z obitych pluszem foteli, stojących wokół biurka, wziąłem do ręki małą, glazurowaną filiżankę i wypilem mały łyżeczek. Jeremy spacerował niespokojnie po pokoju. Gadał o głupstwach, starannie unikając tematu Mary i wszystkiego, co sobą reprezentowała. Kawa popłynęła przeze mnie falą ciepła - nawet stopy pulsowały gorącem, choć nie pociłem się w podmuchu klimatyzowanego powietrza z sufitu. Z początku było to miłe wrażenie, nawet przyjemne. Gęsta goryczka kawy obmywała podniebienie, z ust wznosiła się do zatok, stamtąd gdzieś poza oczy, przez mózg, dalej do gardła i do płuc. Oddychałem kawą, krew śpiewała ciepłem.

...Mówiłem o czymś. Głos Jeremy'ego dochodził z góry i z przodu, trochę trzeszczący i metaliczny, jakby przekazywany przez stary węglowy mikrofon:

- A co się stanie, jeżeli energię Q tej rozmaitości skierujemy poprzez wymiary wektorowe w rozmaitość makrowymiarową?

- No więc - paplałem radośnie - zdefiniujemy w każdym punkcie P n -wymiarowej rozmaitości różniczkowalnej M analogon płaszczyzny stycznej, n -wymiarową przestrzeń wektorową $T_p(M)$, zwaną przestrzenią styczną w punkcie P . Możemy teraz określić ścieżkę w rozmaitości M jako różniczkowalne odwzorowanie przedziału otwartego R w M . Wzdłuż tej ścieżki można ułożyć wszystkie siły definiujące K - podrozmaitość M , całe mnóstwo energii.

Spisywałem to równocześnie, gdy somatyczne efekty działania narkotyku dogoniły psychiczne i zrozumiałem, co się dzieje („Grubo za dużo mamy ostatnio narkotyków...”) Oddech Jeremy'ego jakby się zaciął, gdy podniósł głowę sprawdzając, dlaczego przestałem mówić. Walczyłem z falą mdłości, spowodowaną raczej świadomością tego, że dosypał mi narkotyku, niż samym środkiem, który prawie nie dawał „zakłóceń”. Co mu powiedziałem? I dlaczego, na miłość boską, było to takie ważne?

- Przepraszam - burknąłem poprzez ryk wentylatora. - Głowa mnie trochę boli.

- To przykre - stwierdził Jeremy głosem George'a. - Faktycznie, jesteś trochę blady.

- Właśnie - odparłem starając się nie okazywać, jaki jestem wściekły. (Później, słuchając nagrania naszej rozmowy stwierdziłem, że mój głos wyrażał jedynie zakłopotanie). (Zresztą nie powiedziałem wiele o mojej pracy - głównie definicje). - Przepraszam, że cię tak zostawiam, ale ostatnio nie najlepiej się czuję.

Wstałem i na chwilę wpadłem w panikę - nie mogłem sobie uzmysłowić położenia drzwi najbardziej postawowego punktu orientacyjnego, pamiętanego bez wysiłku w każdych okolicznościach. Szlag by mnie trafił, gdybym spytał Jeremy'ego Blasingame'a o coś takiego, albo potknął się przy nim Całym wysiłkiem woli próbowałem sobie przypomnieć: biurko przodem do drzwi, fotel przodem do biurka, a zatem drzwi są za mną...

- Odprowadzę cię do pokoju - zaproponował biorąc mnie pod ramię. - Słuchaj, może podwieźć cię do domu?

- Poradzę sobie - rzuciłem strząsając jego rękę. Znalazłem drzwi, chyba tylko przypadkiem, i wyszedłem. Zastanawiałem się, czy potrafię rozpoznać swój gabinet. Krew w żyłach zmieniła się w gorącą kawę po turecku. W głowie mi się kręciło. Klucz dał się przekręcić, więc byłem u siebie. Zamknąłem drzwi, podszedłem do kanapki i położyłem się. Wszystko wokół kołysało się tak samo, jak wtedy gdy stałem, ale nie mogłem się już ruszyć. Bezradnie wirowałem w miejscu. Czytałem gdzieś, że tego typu narkotyki prawie nie dają efektów somatycznych, może jednak było to prawdą tylko u pacjentów mniej wyczulonych na swą kinetyczną realność - bo niby dlaczego tak ostro reagowałem? Strach. A może Jeremy dosypał mi jeszcze czegoś oprócz środka na prawdomówność? Ostrzeżenie? Przed czym? Zobaczyłem nagle wąskie granice mego zrozumienia, poza którymi rozpościerała się szeroka rozmaitość działań, których nie pojmowałem - w dodatku grożąc całkowitym wchłonięciem pierwszego obszaru tak, że nie pozostanie nic, co potrafiłbym zrozumieć. Ta perspektywa przeraziła mnie.

Jakiś czas później - może nawet godzinę - poczułem, że muszę wrócić do domu. Fizycznie czułem się dużo lepiej i dopiero kiedy wyszedłem na zewnątrz, na wiatr, zdałem sobie sprawę, że wciąż odczuwam psychologiczne efekty działania narkotyku. Rzadka smuga spalin Diesla, jakaś osoba ubrana w rzeczy cuchnące zastarzałym potem - te zapachy niszczyły wszelkie szansę trafienia na nos do wózka Ramona. Laska wydawała się niezwykle długa, wznoszące się i opadające gwizdy sonaru okularów tworzyły kompozycję jakby wyjętą z „Catalogue d'Oiseaux” Messiaena. Stałem jak w transie, zasłuchany w te dźwięki. Samochody przemykające obok z pomrukiem elektrycznych silników, odgłosy wiatru, które mogłem analizować... Nie potrafiłem znaleźć Ramona i postanowiłem nie szukać dłużej; zresztą, nie chciałem go mieszać do tej sprawy. Ramon był moim najlepszym przyjacielem. Ileż godzin rzucaliśmy razem u Warrena.. a kiedy graliśmy w dźwiękowego ping-ponga u niego w mieszkaniu, zaczynaliśmy czasem śmiać się tak, że nie mogliśmy przestać - czym jest przyjaźń, jeśli nie tym właśnie?

Rozproszony takimi myślami i niezwykłą muzyką wiatru i ruchu ulicznego, przestałem się orientować przez jaką ulicę przechodzę. Szszszu! samochodu, który niemal otarł się o mnie, gdy schodziłem z krawężnika. Zagubiony! „Przepraszam, czy to Pennsylvania, czy K.?” Pieprzętowszystko. Ostrożnie szukałem drogi pomiędzy potłuczonymi butelkami, wielkimi gwoździemi sterczącymi z desek na chodniku, nisko wiszącymi drutami podtrzymującymi gałęzie czy znaki drogowe, psimi gównami czekającymi jak skórki banana, żebym się na nich pośliznął i przewrócił na jezdnię, prosto pod nadjeżdżający autobus, pędzącymi samochodami o absolutnie cichych elektrycznych silnikach, wypadającymi zza zakrętu, chuliganami, których nie obchodziło, czy jestem niewidomy, sparaliżowany czy jakikolwiek, wejściami do kanałów, stojącymi otworem przy krawężnikach, wściekłymi psami, wystawiającymi swoje zębate paszcze pomiędzy sztachetami płotów, gotowe gryźć... O tak, zwalczyłem te niebezpieczeństwa, i nie tylko te. Musiałem wyglądać na szaleńca, gdy tak stąpałem uważnie po chodniku wymachując dookoła laską, jakbym odpędzał demony.

Trząsałem się z wściekłości, gdy w końcu dotarłem do domu. Nastawiłem „Wyjdz” Steve'a

Reicha (w którym zdanie „Wyjdź i pokaż im” powtarza się niezliczoną ilość razy) tak głośno, jak tylko mogłem wytrzymać i tłukłem się po mieszkaniu przeklinając i płacząc na przemian (to pieczenie pod powiekami), wszystko na tle muzyki. Tworzyłem setki niesamowitych planów zemsty na Jeremym Blasingame i jego tajemniczych pracodawcach. Przez piętnaście minut szorowałem zęby, żeby usunąć z ust smak kawy.

Następnego ranka miałem już rozsądny plan. Nadszedł czas na małą konfrontację. Była sobota, mogłem więc bez przeszkód pracować w swoim gabinecie. Wszedłem, otworzyłem teczkę, wysunąłem szufladę szafki i głośno przełożyłem do niej papiery. O wiele ciszej wyjąłem wielką łapkę na myszy, kupioną po drodze. Na podstawie napisałem Złapałem cię! Następna pułapka zabija! i starannie przymocowałem wszystko do nowej teczki, którą wsunąłem do szuflady. Pomysł pochodził wprost z moich młodzieńczych fantazji, ale nie przejmowałem się tym. To był najlepszy sposób, by jednocześnie ukarać ich i ostrzec z daleka. Kiedy ktoś spróbuje wyciągnąć teczkę, pułapka zatrzaśnie mu się na palcach, równocześnie zrywając taśmę umieszczoną tak, że tylko ja mogłem to wyczuć. Jeśli więc zaskoczy, będę o tym wiedział.

Pierwszy krok został zrobiony.

Tren „Ofiarom Hiroszimy” Pendereckiego; moment śmiertelnego spokoju, gdy smyczki brzęczą dysonansami, a świat cały czeka.

Zacięcie przy goleniu; zapach krwi.

Po drugiej stronie ulicy cieśla wbija gwoździe na dachu, każda grupa siedmiu uderzeń jak crescendo: pam-pam-pam-pam-pam-pam-PAM! Pam-pam-pam-pam-pam-pam-PAM!

Rachunek stresów w matematyce emocji, mierzący napięcie: gotowy już do użytku. Może cała matematyka odwzorowuje teraz stany świadomości, chwile istnienia.

Przyszła do mnie znowu, nocą, z wiatrem wirującym wokół niej u wejścia. Było późno, chłodna wichura szalała, opadał barometr. Szła burza.

- Chciałam cię zobaczyć - powiedziała.

Poczułem dreszcz lęku i dreszcz rozkoszy, i nie potrafiłem powiedzieć, co jest silniejsze, ani - po chwili - który jest którym.

- Dobrze.

Weszliśmy do kuchni, podałem jej kubek wody, niepewnie krążyłem wokół niej. Mój głos był spokojny, gdy prowadziliśmy urywaną rozmowę o głupstwach. Po wielu minutach mocno chwyciłem jej rękę.

- Chodź.

*

Przeszliśmy przez komórkę, po cuchnących pleśnią schodach, przez drzwi na dach, prosto w podmuchy wiatru. Trafiały nas wielkie krople deszczu.

- Carlos...

- Nie zwracaj uwagi!

Wiatrowi towarzyszył deszczowy zapach mokrego kurzu, gorącego asfaltu i naładowanej elektrycznością atmosfery. Gdzieś daleko na południu niski huk gromu wstrząsnął powietrzem.

- Będzie padać - odezwała się przekrzykując wiatr.

- Cicho - odpowiedziałem gniotąc w uścisku jej rękę. Podmuchy szarpały naszymi ubraniami, komponowały się z moją złością i lękiem. Czułem elektryzujące podniecenie, które budzi we mnie burza. Twarzą do wiatru, z włosami zwianymi do tyłu, trzymałem jej dłoń i czekałem.

- Słuchaj! - rzuciłem. - Patrz, czuj burzę!

I po chwili wyczułem - nie, zobaczyłem, zobaczyłem - nagły wybuch jasności, błyskawicę.

- Zero - powiedziałem głośno i liczyłem w myślach. Grzmot uderzył w nas dziesięć sekund później. Ledwo parę mil stąd.

- Powiedz, co widzisz - rozkazałem słysząc w moim głosie drżenie, którego nie umiałem uniknąć.

- To... to burza z piorunami - odparła, niepewna mnie w tym nastroju. - Chmury są bardzo czarne i niskie, ale miejscami są w nich duże przerwy. Przypominają ogromne głązy, toczące się po niebie. Błyskawica - o, tam! - drgnąłem. - Zauważyłeś?

- Mogę zobaczyć błysk - wyjaśniłem z uśmiechem. - Zachowałem bazową zdolność percepcji światła i ciemności. Na moment wszystko rozbłysło. Jakby ktoś włączył i zaraz wyłączył słońce.

- Tak. Tak to mniej więcej wygląda, tylko że światło ma kształt zygzakowatej, białej linii sięgającej od chmur do ziemi. Jak ten twój model rozpadających się subatomowych cząstek, taka połamana rzeźba z drutu, biała jak słońce, na krótką chwilę wbijająca się w ziemię, tak jaskrawa, jak głośny jest grom.

Jej głos brzmiał chrapliwie z podniecenia, płynącego iskrami wzdłuż naszych rąk - może też z obawy, ciekawości, sam nie wiem, czego. Jasność... Huk, grom uderzył w nas jak pięść.

Zadrżała. Roześmiałem się.

- To było blisko! - bała się. - Jesteśmy w samym środku!

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- Więcej! - krzyknąłem. - Szybciej z tym!

I jakbym był władcą pogody, błyskawica zgasła ciemność wokół nas, błysk-ŁUP... błysk ŁUP... błysk...ŁUP!!

- Zejdźmy na dół - krzyknęła Mary poprzez wycie wichru i rozbrzmiewające stale trzaski piorunów. Pokręciłem głową tam i z powrotem, tam i z powrotem, ściskając jej ramię tak mocno, że musiało boleć.

- Nie! To jest mój wizualny świat, rozumiesz? Jest tak piękny, jak tylko... - błysk-trzask ŁUP.

- Carlos...

- Nie! Cicho! - błysk-błysk-błysk-BUUM! Teraz przetoczył się grzmot, jakby puste baryłki wielkości gór turlały się po betonowej podłodze.

- Boję się - wyznała żałośnie odsuwając się ode mnie.

- Czujesz się obnażona, co? - krzyknąłem, a piorun błysnął, wiatr szarpał nas i krople deszczu bębniły w dach, unosząc zapach smoły mieszający się z ozonem błyskawic. - Czujesz, jak to jest, gdy stoi się bezbronnym wobec potęg, które mogą cię zniszczyć, zgadza się?

- Tak! - odpowiedziała z rozpaczą w głosie pomiędzy dwoma uderzeniami gromu.

- Wiesz teraz, jak czułem się przy was! - wrzeszczałem. ŁUP! ŁUP! - Niech was diabli - powiedziałem. Ból rozdzierał mój głos tak, jak pioruny rozdzierały atmosferę. - Mógłbym usiąść w jakimś zakątku parku razem z handlarzami narkotyków, wariatami i włóczęgami, i wiedziałbym, że jestem bezpieczny, ponieważ nawet ci ludzie mają poczucie tego, że nie krzywdzi się ślepeca. Ale wy! - nie mogłem mówić dalej. Odepchnąłem ją od siebie i zatoczyłem do tyłu, przypominając sobie wszystko. Błysk-ŁUP! Błysk-ŁUP!

- Carlos... - jej ręce, próbujące odwrócić mnie twarzą do siebie.

- Co?

- Ja nie...

- Ty nie, akurat! przyszaś do mnie i opowiedziałaś bajeczkę o księżycu, mówiłaś od tyłu i rysowałaś, a wszystko po to, żeby ukraść moje wyniki... jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś?

- Nie zrobiłam, Carlos, naprawdę! - odpychałem jej ręce, ale było tak, jakby pękła tama, jakby

dopiero teraz, naładowana burzą, potrafiła mówić. - Posłuchaj mnie! - Błysk-ŁUP. Mnie zrobili to samo! Zmusili mnie. Wzięli mnie chyba dlatego, że jestem matematyczką. Wpakowali mi więcej implantów pamięciowych niż potrafię zliczyć - jej napięty, nosowy timbre rozdzierał mój system nerwowy. - Wiesz, co można zrobić z narkotykami i implantami. Mogą cię zaprogramować jak maszynę. Robisz swoje, patrzysz na siebie z boku i nic nie możesz poradzić. - ŁUP! - Zaprogramowali mnie i poszłam; na sygnał wywaliłam z siebie to wszystko. Ale wiesz - ŁUP - próbowałam, wiesz, że jest taka część umysłu, której nie można ruszyć... Walczyłam z nimi, jak tylko mogłam, nie rozumiesz?

Błysk-ŁUP. Skwierczenie palonego powietrza, ozon, dzwonięcie w uszach. Było blisko.

- Wzięłam TNPP-50 - była już spokojniejsza. - I jeszcze MDMA. Po prostu zmusiłam się, żeby wejść do apteki, kiedy szłam się z tobą spotkać. Miałam bloczek czystych recept, więc kupiłam co trzeba. Byłam tak naćpana, że ledwo mogłam chodzić. Ale za to łatwiej mi było mówić, łatwiej zwalczyć programowanie.

- Brałaś narkotyki? - spytałem zdumiony. (Wiem - Max Carrados od razu by się domyślił. Ale ja...)

- Tak. - ŁUP. - Za każdym razem, kiedy byłam u ciebie. I za każdym razem działało to lepiej. Ale żeby chronić nas oboje, musiałam udawać, że ciągle nad tobą pracuję. Kiedy ostatnio byliśmy tu na górze... ŁUP - wiesz, że stoję po twojej stronie, Carlos. Czy sądzisz, że mogłabym udawać?

Głos fagotu, chrapliwy z bólu. Niski grzmot, gdzieś z daleka. Migotanie w ciemności, już nie tak wyraźne - moje chwile widzenia zbliżały się do końca.

- Ale czego oni chcą? - krzyknąłem.

- Blasingame uważa, że twoje prace rozwiążą ich problemy. Próbuje wyposażyć w odpowiednią ilość energii bardzo mały miotacz promieniowania cząsteczkowego. Mają nadzieję, że uda im się przerzucić tę energię z mikrowymiarów, które badasz. - Łup. - Przynajmniej tak mi się wydaje, z tego, co usłyszałam.

- To durnie - choć w pewnym zakresie coś w tym mogło być. Niewiele brakowało, a sam bym się tego domyślił. Tyle energii... - Blasingame jest idiotą. On i ci jego głupi szefowie z Pentagonu...

- Z Pentagonu?! - krzyknęła Mary. - Carlos, ci ludzie n i e są z Pentagonu. Nie wiem, kim są, chyba jakaś prywatna grupa z Zachodnich Niemiec. Porwali mnie z mieszkania, a byłam statystykiem w Departamencie Obrony! Pentagon nie ma z tym nic wspólnego.

Łup.

- Ale Jeremy... - żołądek podchodził mi do gardła.

- Nie wiem, jak do nich trafił. Lecz kimkolwiek są, są niebezpieczni. Bałam się, że zabiją nas oboje. Zastanawiali się, czy cię nie zlikwidować, słyszałam. Bali się, że się domyślasz. Od Basenu Pływowego wstrzykiwałam sobie Pięćdziesiątkę i MDMA, całe mnóstwo, i powtarzałam, że nic nie wiesz, że po prostu nie masz jeszcze tego Wzoru. Ale jeśli się zorientują, że wiesz...

- Boże, jak ja nienawidzę tego szpiegowskiego gówna - zawołałem z goryczą. I jeszcze na domiar złego ta och-jaka-sprytna pułapka w moim gabinecie, która uprzedzi Jeremy'ego...

Zaczynało lać. Pozwoliłem sprowadzić się do mieszkania. Nie ma czasu do stracenia, myślałem. Muszę usunąć tę pułapkę. Nie chciałem jednak narażać Mary. Nagle bardziej się bałem o tego nowo odkrytego sojusznika niż o siebie...

- Posłuchaj, Mary - powiedziałem, kiedy byliśmy już w mieszkaniu. Potem zastanowiłem się i szepnąłem jej do ucha - Czy pokój jest na podsłuchu?

- Nie.

- Rany boskie - te przemilczenia... musiała mnie uważać za pomyłonego. - No dobra. Chcę

trochę podzwonić, a jestem pewien, że telefon jest na podsłuchu. Wyjdę na chwilę i chcę, żebyś została tutaj. Dobrze? - próbowała protestować, ale przerwałem jej. - Proszę! Zostań tutaj. Niedługo wrócę. Po prostu siedź tu i czekaj, proszę cię.

- Dobrze, dobrze, zostanę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

*

Na ulicy skręciłem w lewo i ruszyłem w stronę instytutu. Krople deszczu były mnie po twarzy. Trzeba wrócić i zabrać parasol, pomyślałem odruchowo, zaraz jednak gniewnie odpędziłem tę myśl. Grzmot nadal przetaczał się po niebie, ale dające mi chwilowe poczucie wzroku jaskrawe (mówię Jaskrawe”, co oznacza, że widziałem pewną jasność pośród pewnego mroku) rozbłyski zniknęły.

Kląłem siebie, swoją głupotę, swoje bzdurne założenia. Z twierdzeń zrobiłem aksjomaty (najczęściej spotykany u ludzi błąd syntaktyczno-logiczny?) i nie zastanowiłem się nawet przez chwilę, że na nich spoczywa cała konstrukcja mojego rozumowania. A teraz, założywszy konfrontację z siłą, której nie rozumiałem, znalazłem się w poważnym niebezpieczeństwie. Niewątpliwie (to wniosek) Mary także była zagrożona. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej byłem przerażony, aż w końcu bałem się tak, jak powinienem się bać od samego początku.

Deszcz zmienił się w nierówną mżawkę. Powietrze ochłodziło się z rzadka poruszane podmuchami wiatru. Samochody przemykały po mokrej 21-szej Ulicy z dźwiękiem, przypominającym głos Mary. Minałem skrzyżowanie 21-szej i K, gdzie Ramon ustawia czasem swój wózek. Cieszyłem się, że go nie ma, że nie będę musiał przejść obok niego w milczeniu, nie zważając na zachętę do kupna czy nawet jego specyficzne powitanie. Paskudnie by było tak go oszukiwać. A przecież, gdybym tylko chciał, byłoby to tak proste! Zwyczajnie przejść - nie mógłby się domyślić.

Ogarnęła mnie mdląca świadomość własnego kalectwa. Wszystkie drobne rozczarowania, poznane z trudem ograniczenia całego mojego życia wezbrały i zalały mnie potężną falą obawy i lęku, jak błysk-Łup błyskawicy i gromu, jak ulewa: gdzie ja jestem? dokąd idę? jak zdołam zrobić jeszcze choć jeden krok?

Strach paraliżował mnie. Czuję się tak, jakbym nie doszedł do siebie po narkotykach, które podał mi Jeremy, jakbym wciąż jeszcze zmagał się z ich halucynogennym wpływem. Musiałem się zatrzymać, dosłownie, i wesprzeć o laskę.

Wtedy usłyszałem ich kroki. „The Banshee” Henry’ego Cowella zaczyna się od drapania paznokciami po strunach otwartego fortepianu; taka sama muzyka grała teraz w moim systemie nerwowym. Z tyłu zatrzymały się trzy lub cztery pary nóg, o moment tylko później niż ja.

Przez chwilę serce biło mi tak mocno, że nie słyszałem nic innego. Zmusiłem je, by zwolniło; odetchnąłem głęboko. Naturalnie, że jestem śledzony. Wszystko się zgadzało. A przede mną, w gabinecie...

Ruszyłem znowu. Deszcz zaczął padać gęściej, dmuchnął wiatr. Przeklinałem w duchu. Niezwykle trudno jest cokolwiek usłyszeć, gdy wokół padają krople i stoi się w środku powszechnego plum-plum-plum. Byłem jednak wyczulony na ich obecność i słyszałem, jak za mną idą, troje lub czworo (raczej troje) ludzi, którzy szli, szli równo ze mną.

Czas na objazd. Zamiast iść dalej 21 Ulicą postanowiłem skręcić na zachód, na Pennsylvania i sprawdzić, co robią. Nie słyszałem samochodów, gdy stanąłem nieruchomo. Szybko przeszedłem przez jezdnię, niemal gubiąc laskę, gdy uderzyłem nią o krawężnik. Niedbale, tak „przypadkowo” jak tylko potrafiłem, odwróciłem się twarzą do ulicy; sonary okularów gwizdnęły do mnie i wiedziałem,

że zbliżają się ludzie, choć w deszczu nie słyszałem ich kroków. Z większym niż zwykle zapale błogosławiąc te okulary ruszyłem dalej, tak szybko, by jeszcze wyglądało to naturalnie.

Wiatr i deszcz, brzęczenie elektrycznego silnika i syk opon przejeżdżającego samochodu. Waszyngton późną, burzliwą wiosenną nocą, cichy i pusty. Znow usłyszałem za sobą kroki. Z wysiłkiem utrzymywałem równe tempo, by nie zdradzić, że wiem o ich obecności. Zwykła nocna przechadzka do instytutu...

Przy 22-giej znowu skręciłem na południe. Normalnie nikt by nie chodził po Pennsylvania tam i z powrotem, ale oni szli za mną. Zbliżaliśmy się do szpitala uniwersyteckiego. Było tu trochę ruchu, ludzie przechodzili z lewej i prawej, ktoś otrząsał i składał parasol, jechały samochody... lecz kroki były stale za mną, trochę dalej teraz, niemal poza zasięgiem słuchu.

Zbliżałem się do Biblioteki Gelmana. Serce zabiło szybciej, mózg przeczesywał sieci planów, każdy z nich niedobry, z rozmaitych względów... Na ulicy nie zdołałem im umknąć. To pewnik. W budynku...

Sonar gwizdnął, gdy wyrósł nade mną Gelman. Szybko przeszedłem przez schody z chodnika do foyer, gdzie była winda na szóste i siódme piętro. Nie trafiłem na drzwi i poczułem dopływ adrenaliny, potem znalazły się, tuż obok mnie, na lewo. Kroki za mną przyspieszyły na stopniach, gdy wsunąłem się do windy i wcisnąłem guzik siódmego piętra. Drzwi pozostały otwarte, oczekujące... aż wreszcie łaskawie zasunęły się i jechałem w górę, sam.

Interesującą cechą budynku Biblioteki Gelmana jest brak schodów prowadzących na szóste i siódme piętro (powyżej właściwej biblioteki), oprócz drabinek przeciwpożarowych, pozamykanych od wewnątrz. Żeby się tam dostać, trzeba pojechać jedyną windą, na co skarżyłem się już wielokrotnie - lubię chodzić. Teraz byłem zadowolony, gdyż taki układ dawał mi trochę czasu. Kiedy drzwi otworzyły się na siódmym piętrze, wyszedłem, sięgnąłem ręką i nacisnąłem guziki wszystkich pięter. Potem pobiegłem do siebie, po drodze szukając w pęku kluczy tego właściwego.

Nie mogłem go znaleźć.

Zwolniłem. Sprawdziłem je po kolei. Znalazłem klucz, otworzyłem drzwi, podparłem je stoperem, by się nie zamknęły. Potem do szafki; wysunąłem szufladę i bardzo ostrożnie przejechałem dłonią po dołożonej ostatnio teczce.

Pułapka zniknęła. Wiedzieli już, że wiem.

Nie pamiętam, jak długo stałem tam i zastanawiałem się; pewnie długo. Analizowałem w myślach dziesiątki możliwych rozwiązań. W końcu podszedłem do biurka i wyjąłem z szuflady nożyczki. Idąc za kablem komputera dotarłem do ściennego gniazdka za szafką z archiwum. Wyciągnąłem wtyczkę, otworzyłem nożyczki, wcisnąłem jedno ostrze w gniazdko, docisnąłem i przekręciłem z całej siły.

Trzask. Prąd na chwilę przytrzymał mnie skulonego - poczułem pulsujący ból i odrzuciło mnie; klęczałem bezwładnie oparty o szuflady szafki.

(Kiedyś, kiedy byłem jeszcze młody, uroiłem sobie, że jestem uczulony na nowokainę i dentysta wiercił mi w zębach bez znieczulenia. Było to strasznie nieprzyjemne uczucie, lecz jakby styczne do zasadniczego bólu: ból obok bólu. Podobnie było ze wstrząsem elektrycznym, odbijającym się po moim ciele. Jakiś czas później spytałem o to brata, który był elektrykiem. Powiedział, że ludzki system nerwowy jest zdolny wyczuwać sześćdziesiąt cykli na sekundę prądu zmiennego: „Kiedy cię trzepnie, zawsze czujesz takie pompowanie, bardzo szybkie, ale wyraźne”. Powiedział też, że w przemoczonych butach mogłem łatwo zginąć. „Prąd paraliżuje mięśnie tak, że nie możesz oderwać się od źródła. To może zabić. Udało ci się. Miałeś potem bąble na podeszwach stóp?” Miałem).

Wstałem z wysiłkiem. Lewa ręka bolała jak diabli i brzęczało w uszach. Podszedłem do biurka.

Zdjąłem okulary - za głośno gwizdały - i położyłem je na półce, przodem do drzwi. Sprawdziłem radio - prądu nie było. Nie wiedziałem, czy udało mi się załatwić całe piętro, więc wyszedłem na korytarz, żeby spojrzeć na lampy sufitowe. Nic. Znowu przy biurku; wziąłem zszywacz i kubek i położyłem je za szafką. Pozbierałem z półek wszystkie plastikowe wielościanny (sfera była jak duża kula bilardowa) i też zaniósłem je do szafki. Potem znalazłem na podłodze nożyczki...

W korytarzu otworzyła się winda.

- Ciemno...

- Ciii...

Powolne kroki. Na palcach przemknąłem do drzwi. Stąd słyszałem dokładnie, że jest ich tylko trzech. Z windy pada światło, przypomniałem sobie. Niedobrze by było, gdyby mnie zobaczyli. Cofnąłem się.

(Kiedyś Max Carrados znalazł się w podobnej sytuacji i po prostu krzyknął do napastników, że trzyma wymierzony w nich pistolet i strzeli do pierwszego, który się ruszy. W jego przypadku to poskutkowało; teraz rozumiałem, że plan był szaleńczo ryzykowny...)

- Tędy - szepnął któryś. - Rozsuńcie się i nie gadać.

Szelest, ciche kroki, trzy krótkie trzaski (bezpieczniki pistoletów?). Cofnąłem się do pokoju, za ściankę szafki. Uspokoilem oddech i ucichłem w sposób dla nich nieosiągalny. Jeśli coś usłyszą, to moje okulary...

- To tutaj - szepnął pierwszy głos. - Uważajcie, drzwi są otwarte.

Oddychali szybko. Zatrzymali się przed drzwiami i któryś powiedział:

- Słuchajcie, mam zapalniczkę.

...więc znad głowy rzuciłem otwartymi nożyczkami.

- Au! Au...

Stuk, twarde uderzenie o ścianę, podniesione głosy:

- Co?

- Rzucił nożem.

- Auu...

Cisnąłem zszywaczem tak mocno, jak tylko potrafiłem, bam - chyba ściana u góry. Kiedy odskakiwali rzuciłem za nimi dodekaedr. Nie wiem, w co trafiłem. Skoczyłem prawie pod drzwi, usłyszałem ciche „Hej” i walnąłem kulą bilardową prosto w źródło głosu. Puk. Zabrzmiało to jak... jak nic, co w życiu słyszałem. (Chociaż czasem jakiś obrońca obrywa piłką dźwiękową w głowę. Ten głos był podobny, drewniany i głuchy). Trafiony upadł z przygłuszonym stukiem, jakby zamykanych drzwi samochodu, z metalicznym brzękiem przejechał po podłodze pistolet. Potem BAM! BAM! BAM! jeden z nich wystrzelił przez drzwi. Skuliłem się i odczołgałem do tyłu, za szafkę. W uszach dzwoniło mi boleśnie, nic nie słyszałem, a strach wypełniał mnie jak zapach prochu sączący się po pokoju. Nie umiałem powiedzieć, co teraz robią. Na podłodze była wykładzina dywanowa, pod nią beton - nie ma co mówić o jakichkolwiek wibracjach. Z otwartymi ustami starałem się zogniskować słuch na moich okularach. Powinny gwizdnąć, gdyby ci ludzie szybko weszli do środka, może (znowu) głośniejszy, niż oni sami będą się zachowywać. Okulary ciągle emitowały słaby pisk, który słyszałem poprzez pulsujące fale szumu, wygenerowanego w uszach przez strzały.

Zważyłem w dłoni kubek - ciężki, szklany cylinder z grubym dnem. Głośniejszy gwizd, a potem, w hallu, trzask kamienia zapalniczki...

Cisnąłem kubek. Trach, dźwięk spadającego szkła. Jakiś człowiek wszedł do pokoju. Podniosłem pentaedr i rzuciłem - stuknął o przeciwną ścianę. Nie mogłem znaleźć pozostałych

wielościaków, jakoś nie było ich za szafką. Schyliłem się i ściągnąłem but...

Zrzucił moje okulary, a ja rzuciłem but. Chyba trafiłem, ale nic się nie stało. Czekałem, bezbronny, zupełnie bezradny, oświetlony blaskiem tej cholernej zapalniczki...

Kiedy padły strzały pomyślałem, że chybił, albo że dostałem, ale tego nie czuję; potem uświadomiłem sobie, że ktoś strzela od drzwi, a ktoś spod biblioteczki. Głosy trafianych ciał, zataczających się, padających, czołgających - przez cały czas kulilem się drżący w swoim kącie.

Wtedy usłyszałem z korytarza nosowy jęk, jęk jakby ktoś przejechał raszplą po strunach altówki.

- Mary! - wrzasnąłem. Pobiegłem i potknąłem się o nią. Siedziała oparta o ścianę. - Mary!

Pokrwawiona...

- Carlos - jęknęła boleśnie, jakby zaskoczona.

*

Szczeniście okazało się, że była tylko ranna; kula weszła tuż pod barkiem i strzaskała kość, lecz rana nie była śmiertelna. - Dowiedziałem się tego już później, w szpitalu. Godzinę albo i więcej po naszym przybyciu wyszedł lekarz, żeby mi to powiedzieć. Mdlący węzeł w żołądku rozwiązał się natychmiast. Zakręciło mi się w głowie i prawie zasłabłem, ale już w inny sposób - od nieprawdopodobnie intensywnego poczucia ulgi.

Później przesłuchała mnie policja, a Mary rozmawiała ze swoimi pracodawcami, po czym oboje odpowiadaliśmy na masę pytań FBI. (W rzeczywistości cały proces zajął kilka dni). Dwóch napastników było martwych (jeden zastrzelony, drugi trafiony sferą w skroń), trzeci miał ranę kłutą. Jak to się stało? Nie spałem przez tę pierwszą noc, wyjaśniałem wszystko, wyciągałem i puszczałem im swoje taśmy i w ogóle, ale i tak dopiero rano pojechali po Jeremy'ego. Wtedy nie dało się go już nigdzie znaleźć.

W końcu udało mi się przez chwilę zostać sam na sam z Mary. Było koło dziesiątej rano następnego dnia.

- Nie zostałeś w domu - stwierdziłem.

- Nie. Myślałam, że chcesz iść do Jeremy'ego do domu, więc pojechałam, ale nikogo tam nie było. Więc przyjechałam do instytutu. Drzwi windy otworzyły się akurat wtedy, kiedy zaczęli strzelać. Padłam na podłogę i wczołgałam się prosto na pistolet. Bardzo długo nie mogłam dojść, kto gdzie jest. Nie mam pojęcia, jak ty to robisz.

- Och.

- Nie dotrzymałam obietnicy.

- Cieszę się z tego.

- Ja też.

Nasze dłonie odnalazły się i pochwyciły. Pochylałem się, aż moje czoło dotknęło jej ramienia (tego zdrowego) i wsparło się na nim.

- Ale co znaczyły te wszystkie rysunki twierdzenia Desarguesa? - spytałem ją kilka dni później.

Roześmiała się, a głęboki timbre jej głosu uderzył we mnie niby miniatura tamtego porażenia prądem ze ściennego gniazdka.

- Wprogramowali we mnie te geometryczne pytania do ciebie i robiłam to wszystko jak robot; a gdzieś pod spodem walczyłam, żeby zrozumieć, co się dzieje, czego oni chcą. A później jeszcze, żeby cię ostrzec. Prawdę mówiąc, twierdzenie Desarguesa było jedynym geometrycznym faktem, który był mój własny, pamiętany jeszcze ze szkoły. Wiesz, jestem statystykiem, studiowałam głównie to i jeszcze analizę. Więc rysowałam go ciągle, żebyś zwrócił uwagę na m n i e. W tym rysunku była

wiadomość. Ty byłeś trójkątem w pierwszej płaszczyźnie, a ja tym drugim, i obojgiem nami kierował punkt rzutowania...

- To już zrozumiałem! - zawołałem.

- Naprawdę? Ale zaznaczyłam jeszcze paznokciem małe J przy punkcie rzutowania, żebyś wiedział, że Jeremy za tym stoi. Wyczułeś to?

- Nie. Kserowałem twoje rysunki, a takie rzeczy nie wychodzą.

Więc moja wypukła kopia, paradoksalnie, traciła najważniejszą wypukłość.

- Wiem, ale miałam nadzieję, że przejedziesz po tym palcem albo coś takiego. Głupie. W każdym razie „tworzyliśmy trzy współliniowe punkty na przedłużeniach boków, o to chodziło, określane w tym przypadku przez punkt J i jego rzut...

Roześmiałem się.

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy - stwierdziłem i zaśmiałem się znowu. - Ale podoba mi się twój sposób myślenia.

*

Dostrzegłem jednak w diagramie wyraźniejszą symbolikę.

*

Kiedy opowiedziałem to Ramonowi, też się roześmiał.

- Jesteś matematykiem i nie wpadłeś na to! Było zbyt proste!

- Nie wiem, czy nazwałbym to zbyt prostym...

- Czekaj... czekaj... mówisz, że kazałeś tej swojej dziewczynie zostać w domu, gdy wiedziałeś, że w instytucie czekają te oprychy?

- Nie wiedziałem, że przyjdę akurat wtedy. Ale...

- Zachowałeś się naprawdę jak mrugacz.

- Tak - musiałem to przyznać; byłem głupi i posunąłem się za daleko. Uświadomiłem sobie też, że w dziedzinie myśli, w zakresie analizy i planowania, całkowicie i bardzo spektakularnie zawiodłem... Za to w fizycznym kontinuum akcji radziłem sobie (do pewnych granic) (granic, których wolę nie pamiętać [p u k pękającej czaszki; ja, skulony, oświetlony blaskiem płomyka zapalniczki]) zupełnie nieźle. Ta refleksja, choć niepokojąca, sprawiła mi jednak przyjemność. Przynajmniej na chwilę wyzwoliłem się niemal ze świata tekstów.

*

Naturalnie, trochę trwało, zanim Mary wróciła do zdrowia. Porwanie, programowanie behawioralne, strzelanina, a przede wszystkim duże dawki narkotyków, aplikowane jej przez porywaczy i przez nią samą, poważnie wpłynęły na jej stan. Przez kilka tygodni leżała w szpitalu. Odwiedzałem ją codziennie i rozmawialiśmy całymi godzinami.

I oczywiście, trochę trwało, zanim doszliśmy ze wszystkim do porządku. Nie tylko z władzami, ale i między sobą. Co było w naszych stosunkach poważne i trwałe, a co tylko efektem niezwykłych okoliczności naszego spotkania - tego nie dało się wtedy określić.

Może nigdy nie uda się nam rozdzielić tych rzeczy. Początek znajomości na zawsze pozostaje jej częścią, a w naszym przypadku dostrzegliśmy w sobie cechy, których inaczej - dla własnego dobra - nigdy byśmy się nie doszukali. Teraz, po tylu latach, kiedy jej dłoń dotyka mojej, czuję ten dreszcz lęku i uniesienia, jaki budziły we mnie pierwsze dotknięcia. Drzę wtedy od tajemniczego zwarcia z nieznaną osobowością drugiej osoby... Czasem też, jednocześnie, pojawia się wrażenie, że stoimy

zespoleni pośród burzy problemów i zagrożeń, która grzmi i błyska wokół nas. W sumie wydaje mi się oczywiste, że miłość wykuta w kuźni niebezpieczeństw i groźnych okoliczności jest najsilniejszą miłością.

Dowód tego faktu pozostawiam jako ćwiczenie dla czytelnika.